

MARCEL SCHWOB

8570

F  
KSIĘGA MONELLI

PRZEŁOŻYŁA  
BRONISŁAWA OSTROWSKA.



LWÓW 1907.

NAKLAD KSIĘGARNI POLSKIEJ B. POŁONIECKI.  
WARSZAWA E. WENDE I SP.

CZYTELNIA  
OGÓLNA

Bibl. Publ. Inst. W-wy

Wymiana



DR 4.660

BIBLIOTEKA UNIwersYTECKA  
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0380977



351404

8570

I.

*F* SŁOWA MONELLI.

01/12/1013

20.00p

Monella spotkała mię na równinie, po której błądziłem i ujęła mię za rękę.

Niechaj cię to bynajmniej nie zadziwia, rzekła, to ja i to nie ja. Odnajdziesz mię jeszcze i utracisz mnie, bowiem niewielu ludzi mię widziało, a nikt nie zrozumiał.

I zapomnisz mnie i poznasz, i znowu zapomnisz.

I Monella rzekła jeszcze: Będę ci mówiła o małych dziewczętach ulicznych, a tak poznasz początek.

Bonaparte krwawy, mając lat osiemnaście spotkał raz pod żelaznemi bramami Pałacu Królewskiego dziewczynę uliczną. Była blada i trzęsła się od zimna, ale »trzeba żyć« powiedziała mu. Ani ty ani ja nie znamy imienia tej małej, którą Bonaparte w listopadową noc zaprowadził do komnaty swojej w Hotel de Cherbourg. Pocho-

działa z Nantes w Bretanii. Była zmęczona i słaba, a właśnie porzucił ją kochanek. Była dobra i prosta. Głos jej miał dźwięk bardzo łagodny. Bonaparte pamiętał to wszystko, i sądzę, że później wspomnienie jej głosu poruszało go aż do łez, i że szukał jej długo, nigdy nie mogąc odnaleźć, w długie wieczory zimowe.

Bo widzisz, małe dziewczęta uliczne wychodzą tylko raz z nocnego tłumy dla dzieła dobroci. Biedna Anna podbiegła ku Tomaszowi de Quincey opiumiście mdlejącemu na szerokiej ulicy Oksfordu pod światłem wielkich latarni. Z wilgotnymi oczyma przytknęła mu do ust czarkę słodkiego wina, uściśnęła go i obdarzyła pieśczęcią. Później wróciła w noc. Może niezadługo umarła. Quincey mówił, że kaszlała ostatniego wieczoru kiedy ją widział. Może błąkała się jeszcze po ulicach; ale mimo usilnych poszukiwań, mimo lekceważenia szyderstw ludzi, do których się zwracał, Anna zginęła na zawsze. Później, gdy już miał własny, ciepły dom, myślał nieraz ze łzami, że biedna Anna mogła była żyć przy nim: wyobrażał ją sobie chorą, zrozpaczoną lub konającą w mętach

Łondynu — uniosła z sobą całą litośną pamięć jego serca.

Widzisz, wołają na cię ze współczuciem i pieśczęcią ci dłoń swą ręką wychudłą. Rozumieją cię tylko wtedy, gdy jesteś bardzo nieszczęśliwy. Płaczą wraz z tobą i pocieszają cię. Mała Nelly przysłała do uwięzionego Dostojewskiego ze swego ohydneho domu i ginąca z gorączki długo patrzyła na niego swemi czarnymi płochliwymi oczyma. Mała Sonia (boć i ta istniała jak i inne) uściśnęła zabójcę Rodiona po jego wyznaniu zbrodni. »Zgubiłeś się« rzekła z rozpaczą i rzuciwszy mu się na szyję, pocałowała go. »Nie, teraz niema na świecie nieszczęśliwszego od ciebie człowieka!« wykrzyknęła w wylewie litości i nagle rozszlochała się głośno.

Jak Anna i jak ta bez imienia, co podeszła do młodego i smutnego Bonapartego, i mała Nelly zatoneła we mgle. Dostojewski nie mówi co stało się z Sonią bladą i wychudłą. Ani ty ani ja nie wiemy czy zdołała aż do końca wspierać Raskolnikowa w jego pokucie. Ja nie sądzę. Wysunęła się pewnie powoli z jego

ramion, bo zbyt wiele już przekochała i przecierpiała.

Żadna z nich, widzisz, nie może zostać z wami. Byłyby nazbyt smutne i wstydzą się zostać. Kiedy już nie płaczą, nie śmiają na was patrzeć. Uczą was, czego nauczyć mają i usuwają się. Przychodzą skroś chłody i deszcze pocałować wam czoło, otrzeć oczy, i noc zagarnia je znowu. Bo może mają pójść gdzieindziej.

Znacie je tylko wtedy gdy wam współczują. Nie trzeba myśleć o reszcie. Nie trzeba myśleć o tem, co mogły robić w ciemności. Nelly w okropnym domu, Sonia pijana na ławce bulwaru, Anna odnosząca pustą szklankę winiarzowi w ciemnej uliczce, były może okrutne i wstrętne. To są istoty z ciała. Wyszły z ciemnego zaułku, by złożyć pocałunek litości pod dużą, zapaloną latarnią szerokiej ulicy. W tej chwili były boskie.

Trzeba zapomnieć o reszcie.

Monella umilkła i popatrzyła na mnie:

Wysłałam z nocy i powrócę w noc, bo i ja jestem małą dziewczyną uliczną.

I rzekła jeszcze:

Żal mi ciebie, żal mi ciebie o ukochany!

A przecież wrócę w noc, bo trzeba, żebyś mię utracił zanim odnajdziesz. A jeśli mię odnajdziesz, raz jeszcze odejdę.

Bowiem jestem tą, która jest sama.

I Monella rzekła jeszcze:

Że jestem sama, dasz mi imię Monelli, lecz będziesz wiedział, że ja noszę wszystkie imiona.

Że jestem tą i tamtą i tą bez imienia. I zaprowadzę cię do moich sióstr, które są mną, podobne do bezrozumnych dziewcząt ulicznych.

Zobaczysz je gnębione samolubstwem i namiętnością, okrucieństwem i dumą, cierpliwością i litością, jak nie mogą jeszcze odnaleźć się w sobie.

Zobaczysz, jak daleko idą szukać siebie.

Lecz ty odnajdziesz mię sam, i ja odnajdę siebie; ty mię utracisz i ja się sama utracę.

Bowiem jestem tą, którą utracą się, zaledwie odnalazłszy.

I Monella rzekła jeszcze:

Tego dnia kobieta dotknie twojej dłoni i ucieknie.

Bowiem pierzchliwą jest rzecz każda, ale Monella pierzchliwszą jest jeszcze.

A zanim mię odnajdziesz, będę nauczać cię na tej równinie i napiszesz księgę Monelli.

I Monella podała mi małą pochodnię, świecącą różowym płomykiem.

Weź tę pochodnię, rzekła, i pal. Pal wszystko na ziemi i na niebie. I strzaskaj ją i zagaś kiedy spalisz, bowiem nic nie powinno pozostać.

Bądź jak ten, który niszczy ogniem, i niechaj ogień, który zeszedł z nieba, do nieba wróci.

I Monella rzekła jeszcze. Będę ci mówiła o zniszczeniu.

Oto moje słowo: niszc! niszc! i niszc! Niszcz w sobie, niszc naokół siebie. Rób miejsce dla swojej duszy i dla innych dusz.

Niszcz wszystko dobro i wszystko zło. Szczątki są jednakie.

Burz dawne siedliska ludzi i dawne siedliska dusz; rzeczy umarłe są zwierciadłami, które zniekształcają.

Niszcz, bowiem wszystka twórczość płynie ze zniszczenia.

Dobroć wyższa zabija dobroć niższą. A tak nowe dobro zdaje się wyrastać ze zła.

Ażeby stworzyć nową sztukę potrzeba zburzyć dawną a tak sztuka nowa staje się rodzajem obrazoburstwa.

Bowiem każda budowa powstaje z odłamów i tylko kształty nowe są na świecie.

Lecz kształty trzeba niszczyć.

I Monella rzekła jeszcze: będę ci mówiła o kształtach.

Samo pragnienie nowości jest tylko żądzą duszy, która chce się kształtować.

Dusze zasię zrzucają kształty dawne tak, jak węże zrzucają dawną skórę.

A cierpliwi zbieracze tych skór, uzyskują nad węzami magiczną władzę poskromienia.

Gdyż ten, który posiada stare skóry węży, nie dopuszcza do nowych zmian u młodych.

Dlatego to węże zrzucają swoje skóry w zielonym cieniu głębokiego parowu, a co roku zbierają się w krąg i palą stare skóry.

Bądźże podobny czasom tworzącym i niszczącym.

Zbuduj sam sobie dom i spal go sam.

Ale nie rzucaj szczątków poza siebie; niechaj każdy ma własne ruiny.

Nie buduj nic wśród nocy, która przeszła.  
Daj prądowi unieść budowę twoją.

Nową budowę twórz każdym poruszeniem twej duszy.

A każdej żądy nowej twórz nowego boga.

I Monella rzekła jeszcze: Będę ci mówiła o bogach.

Daj umrzeć starym bogom i nie siadaj na grobowcach ich podobny płacze.

Bowiem starzy bogowie ulatują ze swoich mogił.

Ani opiekuj się młodymi otulając je w powijaki.

Niech każdy bóg uleci zaledwie stworzony.

Niech każdy twór zaledwie stworzony, ginie.

Niech stary bóg stworzony będzie dla młodego boga, który przyjdzie.

Niech każdy bóg będzie bogiem chwili.

I Monella rzekła jeszcze: będę ci mówiła o chwilach.

Patrz na wszystko poprzez pryzmat chwili.

Na los chwili oddaj twoje ja.

Myśl chwilę. Wszelka myśl, która trwa jest bezmyślnością.

Bądź szczerym wobec chwili: Każda szczerłość, która trwa jest kłamstwem.

Kochaj chwilę. Wszelka miłość, która trwa jest nienawiścią.

Bądź sprawiedliwym wobec chwili. Sprawiedliwość, która trwa jest niesprawiedliwością.

Czyń w chwili. Wszelki trwający czyn jest królestwem umarłym.

Bądź szczęśliwym chwilą, szczęście, które trwa jest nieszczęściem.

Szanuj wszelkie chwile i nie czyń łączności pomiędzy rzeczami.

Nie opóźniaj chwili, przedłużyłbyś konanie.

Wiedz: każda chwila jest kolebką i trumną.  
Niechaj nową i dziwną będzie ci wszelka śmierć i wszelkie życie.

I Monella rzekła jeszcze: będę ci mówiła o życiu i o śmierci.

Chwile podobne są do czarno białych klocków.

Nie układaj życia we wzór złożony z samych białych stron. Bo znajdziesz później wzór złożony z części czarnych.

Niechaj każda czern przerwana będzie oczekiwaniem przyszłej białości.

Nie mów, żyję dziś, umrę jutro. Nie rozdzielaj rzeczywistości pomiędzy życie i śmierć. Mów teraz żyję i umieram.

Wyczerpuj w każdej chwili całość ujemną i dodatnią rzeczy.

Róża jesienna trwa całą porę roku; co ranka się otwiera; zamyka się co wieczora.

Bądź podobny różom. Niechaj żądze targają płatki twoje, niechaj je depce ból.

Niech każdy zapał umiera w tobie, niech każda żądza pragnie umrzeć.

Niech każdy ból twój będzie jako owad przelotny, który ma odfrunąć. Nie zamykaj w sobie toczącego owada. Nie ukochaj nazbyt tych czarnych grabarzy.

Niech każda radość twoja będzie jako owad przelotny, który ma odfrunąć. Nie zamykaj w sobie łagodnego owada. Nie ukochaj nazbyt tych złotych motyli.

Niechaj każda rozważa błysnie i zagaśnie w tobie jak błyskawica.

Niechaj twe szczęście podzielonem zostanie na ciche błyskania. A tak twój dział radości równy będzie innym.

Miej atomowe wpatrzenie się w wszechświat.

Nie opieraj się naturze. Nie depc po rzeczach stopą duszy swojej. Niech dusza twa nie odwraca twarzy jak złe dziecko.

Idź w spokoju czerwonym światłem ranka i szarą poświatą wieczoru. Bądź świtem i zmierzchem zarazem.

Zmieszaj życie i śmierć i rozdziel je na chwile.

Nie czekaj śmierci. Ona jest w tobie. Bądź jej towarzyszem i trzymaj ją u boku; ona jest jak ty.

Umieraj śmiercią własną i nie pragnij innych, zyciem odmieniaj śmierć.

Za żywą miej każdą rzecz niepewną; każdą rzecz pewną za umarłą.

I Monella rzekła jeszcze: będę ci mówić o rzeczach umarłych.

Pal gorliwie umarłych swoich, a popioły ich rozwiej na cztery strony świata.

Pal gorliwie umarłe czyny swoje i zdepce





ich popioły; bowiem feniks, któryby z nich powstał, byłby znów ten sam.

Nie igrzaj z umarłymi i nie pieść ich oblicza. Nie śmieć się z nich ani płacz nad nimi — zapomnij.

Nie ufaj rzeczom przeszłym, nie buduj pięknych trumien dla chwil co minęły: myśl o zabiciu tych, które nadejdą.

Nie dowierzaj trupom.

Nie całuj umarłych: oni duszą żywych.

Dla rzeczy, które zmarły, miej cześć należną kamieniom do budowy potrzebnym.

Nie brukaj rąk twych na zmaconych prądach. W nowych wodach obmyj palce swoje.

Wyrzuć dech piersi swojej a nie wciągaj oddechów umarłych.

Nie zpatruj się w żywoty minione jak i we własne życie co już przeszło. Nie zbieraj kopert próżnych.

Nie noś w sobie cmentarza. Umarli niosą mór.

I Monella rzekła jeszcze: będę ci mówiła o twoich czynach.

Niech każda czara gliniana przekazana tobie skruszy ci się w rękę. Strzaskaj wszelką czarę, z której będziesz pił.

Zagaś lampę życia, którą ci skłania los. Bowiem wszelka lampa stara jest dymna.

Sam nie przekazuj sobie nic — radości ni bólu. Nie bądź niewolnikiem żadnej formy: ciała ani ducha.

Nie uderzaj nigdy jednakim ruchem dłoni. Nie przeglądaj się w śmierci, daj, by woda bieżąca uniosła twój obraz.

Uciekaj od ruin i nie płacz pośród nich. Kiedy porzucasz odzież twą wieczorem, rozodziej się z twojej duszy dziennej. Nagim bądź, chwili każdej.

Wszelkie zadowolenie wyda ci się śmiertelnem; biczem je gnaj.

Nie traw minionych dni, karm się rzeczami, które mają przyjsć.

Nie spowiadaj się z przeszłości twojej — ona już umarła, wyznaj sam sobie rzeczy, które przyjdą.

Nie zstępuj kwieciami rwać wzdłuż drogi swojej. Ciesz się każdym zjawiskiem. Ale je rzuć i nie odwracaj się za niem.

Nie odwracaj się nigdy: za tobą biegnie łopot płomieni Sodomy i zamieniłbyś się w posąg stężonych łez.

Nie patrz za siebie. Ani patrz zbyt przed siebie. Jeżeli w siebie spojrzysz, niech wszystko będzie białem.

Nie imaj się wspomnień w podziwie swoim: niechaj cię wszystko zdumiewa nowością niewiedzy.

Dziw się wszystkiemu. Bowiem różnem jest wszystko w życiu jednakiem w śmierci.

Buduj na różnicach, podobieństwa niszczy.

Nie szukaj ciągłości. Niema jej na ziemi ni na niebie.

Gdyby rozważa twoja była ciągłą, zniszczyłbyś ją i stępił wrażliwość swoją.

Nie lękaj się sprzeczności. Niema sprzeczności w chwili.

Nie kochajswego bólu; bowiem nie będzie trwał.

Pomyśl o paznokciach, które ci odrastają i o drobnych łuskach skóry, która się ściera.

Zapominaj o wszystkim.

Oстрым rylcem będziesz cierpliwie zabijał wspomnienia, jak niegdyś stary cesarz zabijał muchy.

Nie daj szczęściu wspomnienia trwać aż do przeszłości.

Nie wspominaj i nie przeczuwaj.

Nie mów: pracuję by zdobywać, pracuję, by zapomnieć, zapominaj o zdobyczy i o pracy.

Powstań przeciwko każdej pracy, przeciwko każdemu działaniu, które przeżywa chwilę. Powstań.

Niechaj droga twoja nie wiedzie od jednego kresu do drugiego, tego bowiem niema na świecie; lecz niechaj każdy twój krok będzie oddzielnym wybuchem.

Lewą swą stopą zatrzęsiesz ślad prawej stopy.

A niechaj nie wie lewa ręka twoja co uczyniła prawa.

Nie znaj sam siebie.

Ani się troszcz zbyt o wolność swoją. Zapomnij siebie.

I Monella rzekła jeszcze: będę ci mówiła o moich słowach.

Słowa słowami są, póki się je mówi.

Słowa przechowane są martwe i niosą mór.

Śluchaj słów moich póki mówię, ale nie żyj według moich słów zapisanych.

A powiedziawszy to wszystko na równinie

Monella umilkła i stała się smutna; bowiem musiała wrócić w noc.

I rzekła mi z daleka:

Zapomnij o mnie, a będę ci wróconą.

A ja patrząc ujrzałem, jak na równinie ja-  
wiły się przedemną siostry Monelli.



II.

## SIOSTRY MONELLI.

PROSIMY O NIENISZCZENIE KSIĄŻKI

## SAMOLUBNA.

Przez niski parkan otaczający szary dom szkolny na szczycie nadbrzeżnej skały, wyciągnęła się rączka dziecinną z zawiniątkiem związanem różową wstążeczką.

— Weź najpierw to, odezwał się głosik dziewczynki. Uważaj, to się tłucze. Później mi pomożesz.

Drobny deszcz padał miarowo w szczeliny skalne, w głęboką przystań i siekł wodne wiry pod skałami. Chłopak w ubraniu majtka, zaglądnący przez szpary do ogrodu, podsunął się i powiedział szeptem:

— Przechodźże raz, spiesz się!

Dziewczynka krzyknęła.

— Nie, nie, nie! nie mogę. Trzeba schować ten papier; chcę zabrać moje rzeczy. O, samo-

lub, samolub! Przecie widzisz dobrze, że już cała przemokłam przez ciebie.

Chłopak zwrócił głowę i wziął zawiniątko. Zmoczony papier pękł mu pod ręką i posypały się w błoto ścinki żółtego i brunatnego jedwabiu w kwiaty, skrawki aksamitu, batystowe maleńkie majtki lalczyne, próżne złote serduszko z zawiaskiem i nowa szpulka czerwonych nici. Dziewczynka wdrapała się na płot. Pokłusa sobie ręce o twarde sztachety i wargi jej się zatrzęsły:

— Masz, widzisz teraz, rzekła. Byłeś bardzo uparty, zepsuły się wszystkie moje rzeczy.

Nosek jej się wyciągnął, brwi namarszczyły, odeła usta i zaczęła płakać.

— Zostaw mnie, zostaw! Już ciebie nie chcę! Idź sobie! Przez ciebie płaczę. Lepiej wróć z panią.

Potem smutna pozbierała swoje rzeczy.

— Moja śliczna szpulka zginęła. A tak chciałam wyhaftować suknię dla Lili.

Z niemiłosiernie rozdziawionej kieszeni krótkiej spódniczki widać było małą porcelanową główkę z niezwykle blond czupryną.

— Chodź, szepnął chłopak. — Z pewnością już twoja pani cię szuka.

Pozwoliła mu się uprowadzić obcierając wciąż oczy dłonią poplamioną atramentem.

— A cóż się znów stało dzisiaj? — pytał. — Wczoraj już nie chciałaś.

— Wybiła mnie szczotką od kurzu, powiedziała dziewczyna zaciskając wargi, a potem zamknęła w schowku na węgle razem z pajakami i robakami. Jak wrócę, włożę szczotkę do jej łóżka, podpalę jej dom węglem, a ją zabiję własnymi jej nożyczkami. Tak. Ściągnęła usta. Oh, zaprowadź mnie daleko, zebym jej już nie zobaczyła. Boję się jej ostrego nosa i okularów. Ale się dobrze zemściłam przed odejściem. Wyobraź sobie, ona ma portrety swoich rodziców w aksamitnych ramkach na kominku. Starzy. Nie tak, jak moja mama. Ale ty nie możesz wiedzieć. Pomazałam je solą szczawikową. Będą straszni. To się dobrze stało. Mógłbyś mi odpowiedzieć przynajmniej.

Chłopak podniósł oczy na morze. Było ciemne i zamglone. Opona z deszczu przesłaniała całą zatokę. Nie widać było raf ani ostrzegających

znaków. Chwilami wilgotny całun utkany z le-  
cących kropel rozdzierał się na pękach czar-  
nych porostów.

— Nie można będzie jechać tej nocy — po-  
wiedział chłopak. — Trzeba pójść do budki cel-  
nika, gdzie jest siano.

— Nie chcę, tam brudno! krzyknęła dziew-  
czynka.

Bądź co bądź, powiedział chłopak. Czy  
chcesz zobaczyć swoją panią?

— Samolub! zawołała dziewczynka, wy-  
buchając płaczem. Nie wiedziałam, że jesteś  
taki. O gdybym wiedziała. Mój Boże. Ale ja cie-  
bie nie znałam!

— Możesz przecie nie jechać. A ktoś to mnie  
wołał wtedy rano, kiedy przechodziłem drogą.

— Ja? Oh kłamca! Nie poszłabym nigdy,  
gdybyś mi nie powiedział. Bałam się ciebie. Chcę  
wrócić, nie chcę spać w sianie. Chcę swego łóżka!

— Jesteś przecie wolna, rzekł chłopak.  
Szła dalej wzruszając ramionami. Po chwili:

— Jeżeli idę, powiedziała, to dlatego tylko,  
żem przemokła, z pewnością.

Budka celna otwierała się na pochyły brzeg,

a słoma jej dachu spokojnie ociekała wodą. Po-  
pchnęli deskę u wejścia; w głębi był rodzaj al-  
kierza, zrobionego z pokryw od pak i pełnego  
siana.

Dziewczynka usiadła. Chłopiec otulił jej nogi  
suchą trawą.

— To kłuje, powiedziała.

— To rozgrzewa, odparł chłopiec.

Usiadł koło drzwi wyczekując. Od wilgo-  
tnego chłodu drżał na całym ciele.

— Czy ci aby nie zimno? — spytała dziew-  
czynka. — Potem się rozchorujesz i co się z  
mną stanie?

Chłopak potrząsnął głową. Siedzieli w milcze-  
niu. Mimo zachmurzonego nieba czuć było zmrok.

— Chce mi się jeść, odezwała się dziewczynka.  
Dziś u pani jest pieczona gęś z kasztanami.  
Oh, ty o niczem nie pomyślałeś! Ja przynaj-  
mniej przyniosłam pierożki z mięsem. Masz.

Wyciągnęła rękę. Palce jej Ignęły w zimnej  
masie.

— Pójdę poszukać krabów — powiedział  
chłopiec. — Są przy Czarnych Skalach. We-  
zmę łódź celną z dołu.

— Będę się bała sama.

— Nie chcesz jeść?

— Nie odpowiedziała.

Chłopiec otrząsnął żdźbła słomy poprzcypiane do bluzy i wysunął się na dwór. Usłyszała odgłos jego kroków połknięty błotem.

Potem była wichura i wielka rytmiczna cisza ulewy. Mrok stał się posępniejszym i głębszym. Godzina obiadowa u pani minęła. Godzina snu minęła. Tam pod wiszącymi oliwnymi lampami wszystko spało na biało zaścielonych łóżkach. Kilka mew krzyknęło na burzę. Wiatr zakręcił się i fale poczęły huczeć w głębiach jam skalnych. W oczekiwaniu obiadu dziewczynka zasnęła, potem obudziła się. Jej chłopak musiał się tam bawić krabami. Co za samolub! Wiedziała, że statki trzymają się zawsze na wodzie. Toną ci ludzie, którzy nie mają łodzi.

— Dobrze mu tak! niech zobaczy, że ia śpię, pomyślała. Nie odpowiem mu ani słowa: będę udawać. Tak będzie też dobrze.

W połowie nocy poczuła na sobie blask latarni. Jakis człowiek w płaszczu pod spiczastym kapturem odnalazł ją właśnie skuloną jak mysz. Miał twarz połyskującą od wody i światła.

— Gdzie łódź? — zapytał.

A ona krzyknęła:

— Ach! byłam pewna! Nie znalazł dla mnie krabów i zatracił łódź!



## NAMIĘTNA.

— To straszne, powiedziała dziewczynka, bo krwawi białą krwią.

Obcinała paznokciami zielone główki maków. Mały jej towarzysz patrzył na nią spokojnie. Bawili się w rozbójników w alei kasztanowej, świeżymi kasztanami bombardując róże; młode owoce wyłuskiwali z zielonej łupiny, a małego miauczącego kota kładli na sztachety ogrodzenia. Ciemna głąb ogrodu z wielkiem rozłożystem drzewem była wyspą Robinsona. Rura sikawki ogrodowej służyła za bojową pompę przeciw napadom dzikich. Wysokie trawy o czarnych kitach szły do niewoli i na ścieście. Kilka chrząszczy zielonych i modrych schwytych na łowach leniwie podnosiło skrzydła w studziennem wiadrze. Stratowali piasek ścieżek, prowadząc tamtędy wojska swe w bojowym szyku. Teraz przypuścili właśnie szturm do wzgóрка na łące,

a zapadające słońce otaczało ich świetną jasnością.

Zajęli pozycye zdobyte nieco zmęczeni i podziwiali dalekie purpurowe mgły jesienne.

— Gdybym był Robinsonem, a ty Piętaszkiem, odezwał się, i gdyby tam na dole było duże piaszczyste wybrzeże, poszlibyśmy szukać w piasku śladu ludożerców.

Namyśliła się i spytała:

— Czy Robinson bił Piętaszka, aby mu był posłusznym?

— Nie przypominam sobie, odpowiedział, ale bili brzydkich starych Hiszpanów i dzikich w kraju Piętaszka.

— Nie lubię tych historyj, rzekła. To zabawy dla chłopców. Wiesz, robi się już noc. A gdybyśmy się zabawili w Bajki? Moznaby się bać naprawdę.

— Naprawdę?

— Pewnie. Myślisz, że olbrzym wilkołak nie chodzi co noc po lasach?

Popatrzył na nią i kłapnął zębami.

— A jak pożarł siedem małych królewien, to powiedział: *mniam, mniam, mniam.*



— Nie, nie to, powiedziała. W tej bajce można być tylko olbrzymem albo Paluszkciem. Nikt nie wie, jak się nazywały królowny. Jeżeli chcesz, to ja będę zaczarowaną księżniczką, śpiącą w swoim zamku, a ty przyjdiesz mnie obudzić. Trzeba mnie będzie pocałować bardzo mocno. Bo wiesz, królewicz całuje okropnie.

Spokorniał nagle.

— Ja myślę, że już zapóźno na spanie w trawie. Księżniczka spała na łożu w zamku otoczonym cierniem i kwiatami.

— Więc bawmy się w Sinobrodego — postanowiła. — Ja będę twoją żoną, a ty mi zabronisz wchodzić do jednej z komnat. Zaczynaj: przychodzisz prosić mnie o rękę. »Panie ja nie wiem. Sześć twoich żon znikło w sposób tak tajemniczy. Prawda, że masz piękną i wielką brodę siną i że mieszkasz we wspaiałym zamku. Czy nie zrobisz mi krzywdy nigdy? nigdy?«

Rzuciła mu błagalne spojrzenie.

— Tak, teraz tyś mi się oświadczył, a rodzice przystali. Pobraliśmy się. Daj mi wszystkie klucze. »A od czego jest ten śliczny maleńki?«

Udaj gruby głos, zabraniając mi otwierać tym kluczem.

— Tak, teraz odjechałeś, a ja w tejże chwili przełamuję zakaz. »Oh okropność! Sześć żon zabitych!« Mdleję, a ty przybiegasz mię podtrzymać. Dobrze. Teraz przychodzisz jako Sinobrody. Udaj gruby głos, »Panie mój! Oto wszystkie klucze, jakie mi powierzyłeś«. Pytasz mię o mały kluczyk. »Panie mój, już jest, miałam go w kieszeni na samem dnie.«

Teraz oglądasz klucz. Na kluczu była krew?

— Tak, odpowiedział, plama krwi.

— Pamiętam, powiedziała. Tarłam ją, tarłam, ale nie chciała zejść. To była krew sześciu żon?

— Sześciu żon.

— On je pozabijał wszystkie? Dlatego, że wchodziły do zakazanego pokoju? A jak je zabił? Ścinał, a potem wieszał w czarnej alko wie? A krew płynęła im po nogach aż na posadzkę. Krew była czerwona, ciemno-czerwona, nie taka, jak krew maków, kiedy je drapię. Słuchaj, czy to się klęka, jak mają komu głowę ścinać?

— Zdaje mi się, że się klęka, odpowiedział.

— To będzie bardzo ciekawe! ucieszyła się. Ale ty mi zetniesz głowę zupełnie jak na prawdę.

— Dobrze, zauważył, ale kiedy Sinobrody nie mógł jej ściąć.

— To nic nie szkodzi, powiedziała. Ale dlaczego to właściwie Sinobrody nie ściął głowy żonie.

— Bo nadbiegli jej bracia.

— Ona się bała, co?

— Bardzo się bała.

— Krzyczała?

— Wołała siostry Anny.

— Jabym nie krzyczała.

— Dobrze, mówił, ale w takim razie Sinobrody miałyby czas cię zabić. Siostra Anna była wtedy na wieży patrzeć, jak trawa się zieleni. Jej bracia rycerze przyjechali galopem na koniach...

— Ja nie chcę się tak bawić, powiedziała dziewczynka. To nudne. Bo widzisz, ja przecie nie mam siostry Anny.

Zwróciła się wdzięcznie ku niemu.

— Przecie moi bracia nie nadjadą, rzekła jeszcze, więc widzisz, trzeba mię zabić mój złoty Sinobrody. Zabić bardzo mocno, bardzo mocno!

Uklęka. Zebrał jej włosy, odrzucił do przodu i podniósł rękę.

Powoli z przymkniętymi oczyma, trzepocąc rzęsami, z nerwowym uśmiechem w kącikach ust poddawała puch swego karku, szyję i ramiona wyprężone namiętnie ku okrutnemu ostrzu szabli Sinobrodego.

— U-u! — krzyknęła. To będzie bolało!



## PRZEWROTNA.

— Magda!

Głos dobiegał przez kwadratowy otwór w podłodze. Olbrzymia dębowa śruba, przechodząca przez okrągły dach, obracała się z głuchym turkotem. Wielkie skrzydło z szarego płótna przybite do drewnianego szkieletu, podlatywało przed okienkiem w kurzu słonecznym. Poniżej dwa potwory kamienne zdawały się miarowo borykać ze sobą, aż młyn cały stękał i drżał w posadach. Co pięć sekund długi i prosty cień przecinał izdebkę. Drabina wiodąca aż pod dach była cała okurzona mąką.

— Magda! idziesz? — powtórzył głos.

Magda oparła rękę o dębową śrubę. Nieustanne tarcie łaskotało jej skórę, kiedy tak nieco pochylona patrzyła na wieś w dole. Wzgórze młyna występowało pośrodku jak ostrzyżona głowa. Obracające się skrzydła muskały prawie

krótką trawę, na której czarne ich cienie goniły się wiecznie, nie mogąc nigdy dopędzić. Tyle już mułów zdało się trzeć swe grzbiety o słabo tynkowany mur, że znać już było na nim szare plamy kamieni. U stóp wzgórza wyżłobiona zaschłemi kolejami wozów droga, wiodła aż do stawu zasypanego czerwienią jesiennych liści.

— Magda! Odchodzimy! Krzyknął jeszcze głos.

— A toż idźcie, szepnęła cicho Magda.

Skrzypnęły drzwi młyna. Zobaczyła trzęsące się uszy osła objuczonego dużym worem. Stary młynarz i jego chłopiec z obu stron poganiali leniwe zwierzę. Zeszli razem wyżłobioną ścieżką. Magda została sama, głowę wychylając przez okienko.

Ponieważ rodzice znaleźli ją raz wieczorem wyciągniętą na łóżku z ustami pełnymi piasku i węgla, wezwali dla niej porady lekarzy. Zdaniem tych należało Magdę posłać na wieś, zmęczyć jej plecy, nogi i ręce. Ale odkąd była we młynie, uciekała od świtu pod mały stryżek,

skąd śledziła kołujące cienie wiatrakowych skrzydeł.

Nagle wstrząsała się od stóp do głowy. Ktoś poruszył zasuwę u drzwi.

— Kto tam? — spytała Magda przez kwadratowy otwór.

Usłyszała słaby głos:

— Czyby nie można dostać czegoś do picia? Tak mi się pić chce.

Magda spojrzała między stopnie drabiny. Był to stary żebrak wiejski. W sakwie miał kromkę chleba.

— Ma chleb, pomyślała Magda, szkoda, że nie jest głodny.

Lubiła żebraków, jak lubiła ropuchy, ślimaki i cmentarze, — z pewną domieszką strachu.

— Poczekajcie chwilę! zawołała.

Potem zeszła po drabinie twarzą naprzód.

— Jesteście już bardzo starzy, rzekła, stając się na dole, i tak wam się chce pić?

— Oj tak, dobra panienko, odpowiedział żebrak.

— Żebrakom chce się jeść, podjęła Magda z przekonaniem. Ja bo lubię wapno. Weźcie.

Odlupała biały kawał z muru i zaczęła go żuć. Potem rzekła:

— Wszyscy wyszli. Nie mam kubka. Tam jest pompa.

Pokazała mu zakrzywioną korbę.

Stary się pochylił. Kiedy z ustami przy rurze chłonał zimny prąd wody, Magda wyciągnęła mu ostrożnie chleb z sakwy i włożyła w kupę mąki.

Gdy się odwrócił, oczy Magdy biegały.

— Tam, powiedziała, jest wielki staw. Biedni mogą pić z niego.

— Nie jesteśmy byłem, odpowiedział jej stary.

— Nie, podjęła Magda, ale jesteście nieszczęśliwi. Jeżeli wam się chce jeść, ukradną trochę mąki. Z wodą stawu będziecie mogli zrobić sobie ciasto.

— Ciasto surowe, rzekł stary. Dostałem dziś chleb, Bóg zapłać, panienko.

— A cobyście zrobili, gdybyście nie mieli chleba? Ja, gdybym była taka stara, utopiłabym się. Topielcy muszą być bardzo szczęśliwi. Muszą być piękni. Bardzo mi was żal, mój biedny stary.

— Bóg z tobą, dobra panienko, odpowiedział, jestem bardzo zmęczony.

— I będziecie głodni dziś wieczorem, wołała za nim Magda, kiedy schodził ze wzgórza. Trzeba będzie zmoczyć go w stawie, jeżeli macie złe zęby. Staw jest bardzo głęboki!

Magda nasłuchiwała, dopóki jego kroki nie przycichły. Wyciągnęła ostrożnie chleb z mąki i obejrzała go. Był to czarny razowiec wiejski, teraz poplamiony biało.

— U, ach! pomyślała. Żebym była biedna kradłabym biały chleb z wielkich piekarni.

Kiedy młynarz powrócił, Magda leżała nawznak głową w mlewie. Obydwoma rękami przyciskała kromkę chleba; z wytrzeszczonemi oczyma, nadąwszy policzki, z końcem fioletowego języka między zaciśniętymi zębami, starała się naśladować obraz topielca, tak jak go sobie wyobrażała.

Po wieczery spytała:

— Gospodarzu, czy to prawda, że dawno, dawno, mieszkał w tym młynie straszny olbrzym, co wyrabiał mlewo z trupich kości?

Młynarz odpowiedział:

— To bajki. Ale pod pagórkami są kamienne izby, co już towarzystwo chciało odemnie kupić. Brakuje tylko, żeby pootwierali stare groby po miastach. Dosyć tam tego gnije.

— To musiało trzeszczeć co? Trupie kości, odezwała się Magda. Więcej niż wazę zboże, gospodarzu. A olbrzym piekł z nich bardzo dobry chleb, bardzo dobry. I jadł go, tak, jadł!

Mały Jasiak wzruszył ramionami. Stękanie młyna zniknęło. Wiatr nie dał już w skrzydła. Kamienne, krągłe potwory przestały walczyć. Jeden cicho ciążył na drugim.

— Jasiak mi mówił kiedyś gospodarzu, mówiła znowu Magda, że topielców można zawsze odnaleźć, jeżeli się ma chleb z żywym srebrem. Przedziurawia się skórka z chleba i wsuwa się żywe srebro do środka. Potem rzuca się chleb na wodę, a on już sam stanie nad topielcem.

— A czy ja wiem? odrzekł młynarz. To nie jest zajęcie dla panien. Masz o czym gadać Jasiaku.

— To panna Magda sama mnie pytała —  
tłomaczył się chłopak.

— Jabym włożyła śrutu do polowania —  
powiedziała Magda, bo nie mamy żywego sre-  
bra. Możeby się znalazło topielca tu w stawie.

Doczekała się zmierzchu przed drzwiami,  
z chlebem pod fartuszkim, ze śrutem zaciśnię-  
tym w rękę. Żebrak musiał być głodny. Utopił  
się w stawie. Będzie mogła wyciągnąć jego  
ciało i jak olbrzym umielić mąkę i rozczynić  
sobie ciasto z trupich kości.



## ZAWIEDZIONA.

U zbiegu dwóch kanałów była służa wy-  
soka i czarna. Stojąca woda zieleniała aż pod  
cienie murów. Chata dozorczy służ, sklecona  
ze smolnych desek, bez jednego kwiatka  
w oknie, łopotąła okiennicami na wietrze; przez  
niedomknięte drzwi widać było bladą twarzy-  
czkę dziewczynki o potarganych włosach i spód-  
niczce obciśniętej naokoło nóg. Nad brzegiem  
kanału kołysały się pokrzywy; w powietrzu la-  
tały puchy nasion późnej jesieni i krótkie kłęby  
białego kurzu. Chata wydawała się pustą; wieś  
ponurą; pas żółklej trawy ginął w widnokręgu.  
Krótki dzień dogasał. Rozległ się świst holującego  
statku, który właśnie ukazał się poza służą z okop-  
coną od węgla twarzą palacza, wyzierającego  
ospale z małych blaszanych drzwi. W tyle włókł  
się przez wodę łańcuch, na którym sunął  
szeroki i płaski galar, kołysząc się spokojnie.

Na nim w pośrodku stała mały, czysto utrzymany domek, o okrągłych przepalonych szybkach; czerwone i żółte nasturcyje pięły się wzdłuż okien, a po obu stronach drzwi stały podłużne skrzynki pełne ziemi, gdzie kwitły konwalje, rezeda i geranje. Człowiek, płuczący zmoczoną bluzę u brzegu barki, odezwał się do tego, co stał z bosakiem:

— Mahot, a nie przegryźłbyś czego.

— Zgoda, odpowiedział Mahot.

Położył bosak, przeskoczył zwoje lin i usiadł między dwiema skrzynkami kwiatów. Towarzysz klepnął go po ramieniu i wszedł do domku, skąd wyniósł paczkę, owiniętą zatłuszczonym papierem, bochenek chleba i gliniany dzbanek. Wiatr uniósł papier zawinięcia na kępy konwalij. Mahot podjął go i odrzucił ku służbie, gdzie upadł pod nogi dziewczynki.

— Smacznego tam na górze! krzyknął, my bo jemy właśnie.

I dodał:

— Indyanin, do usług rodaczko. Możesz powiedzieć, żeśmy przejeżdżali tamtędy.

— Czego zawracasz głowę, Mahot. Zostaw tę młódkę. To dlatego, że ma skórę czarną, pannieko: tak go nazywamy na galarach.

A cienki fletniowy głosik odpowiedział:

— Dokąd płyniecie barko?

— Wiezie się węgiel na południe, odkryknął jej Indyanin.

— Tam, gdzie słońce? pytał głosik.

— Że aż przepaliło skórę staremu, odpowiedział Mahot.

A głosik mówił dalej po chwili milczenia:

— Wzięlibyście mnie ze sobą, barko?

Mahot przestał żuć chleb. Indyanin odstał dzbanek śmiejąc się:

— Patrzcie-no, barko! rzekł Mahot. Panno Barczko, a wasza śluz. Zobaczymy jutro rano. Oj! Tatusz nie byłby rad.

Głosik nie odpowiedział nic więcej, i blada twarzyczka ukryła się napowrót w chacie.

Noc objęła ściany kanału, zielona woda podnosiła się wzdłuż wrót śluzowych. W domku widać już było tylko blask świeczki za czerwono-białymi frankami. Woda pluskała monotennie o spód barki, która podnosiła się koły-

sząc zwolna. Nieco przed świtem skrzypnęły zawiasy z brzękiem łańcuchów i przez otwarte wrota śluzы barka popłynęła dalej, ciągniona przez ciężko dyszący holowiec. Kiedy w okrągłych szybkach odbiły się pierwsze czerwone chmury wschodnie, barka minęła już ponurą wieś, gdzie wiatr wyje nad pokrzywami.

Indyanina i Mahot obudził głos szczebiotliwy i miękki niby mówiącej fletni i lekkie stukanie w szyby.

— Wróblom było zimno tej nocy, stary, odezwał się Mahot.

— Nie, odpowiedział Indyanin, to wróbliczka; mała ze śluz. Słowo daję, — jest.

Nie mogli się wstrzymać od uśmiechu. Dziewczynka była różowa od świtu i mówiła swoim śpiewnym głosikiem.

— Pozwolicie mi przyjść jutro rano. Jest jutro rano. Jadę z wami w słońce.

— W słońce? spytał Mahot.

— Tak, ciągnęła. Ja wiem. Tam są muchy zielone i muchy niebieskie, co świecą w nocy; tam są ptaki duże jak paznokiec, co żyją na kwiatach; tam winogrona pną się po

drzewach; tam chleb jest w gałęziach, i mleko w orzechach i żaby, co szczerkają jak duże psy i takie... rzeczy... co wchodzą w wodę... tykwy... nie... zwierzęta, co chowają głowy w skorupę... Bierze się je na plecy, robi się z nich zupę... z tych... tykw... Nie... już nie wiem... pomóżcie mi.

— E... Czart wie, rzekł Mahot. ...Żółwie może...

— Tak, tak! ucieszyła się dziewczynka, żółwie...

— No, niby nie wszystko to tak, rzekł Mahot. A tatuś?

— Tatuś właśnie nauczył mnie tego wszystkiego.

— No, no... — uśmiechnął się Indyanin. — Czegóż cię nauczył?

— Wszystkiego, co mówię: muchy, co świecą, ptaki i... tykwy. Przecie tato był marynarzem, zanim otworzył śluzы. Ale tato jest stary. U nas ciągle deszcz. Rosną same chwasty. Wicie? Raz chciałam zrobić ogród, cudny ogród u nas w domu. Na dworze za duży wiatr. Wyjęłabym deski z podłogi na samym



środku. Dałabym dobrą ziemię, a potem trawę, a potem róże, a potem kwiaty czerwone, co się zamykają w nocy i cudne ptaszki: słowiki, dzwonce i czeczotki do gadania. Tatus nie pozwolił. Tatus powiedział, że to walałoby dom i byłaby wilgoć. Więc nie chciałam wilgoci. Więc przyszedłam do was, żeby pojechać tam.

Galar płynął spokojnie; na brzegach kanału drzewa uciekały szeregami. Śluzy zostały daleko. Nie można było wracać. Holowiec świstał na przedzie.

— Ale ty nic nie zobaczysz, rzekł Mahot. Nie płyniemy na morze. Nigdy nie znajdziemy twoich much, ani żab, ani ptaków. Będzie trochę więcej słońca, to wszystko, Indyanin, prawda?

— Oczywiście, odrzekł.

— Oczywiście? powtórzyła dziewczynka. Kłamcy! Już ja dobrze wiem. No!

Indyanin wzruszył ramionami.

— W każdym razie nie trzeba umierać z głodu, zdecydował, chodźmy zjeść zupę Barczko.

Zostało jej to imię. Przez kanały szare i zie-

lone, zimne i ciepłe, towarzyszyła im na statku czekając kraju cudów. Barka mijala pola brunatne z delikatną runią a cienkie drzewa zaczęły już szeleścić liśćmi. Zboża pozółkły, a mawkówki wyciągnęły się jak purpurowe czarki ku chmurom. Ale Barczke nie cieszyło lato. Siedząc pomiędzy dwiema skrzynkami kwiatów, podczas kiedy Mahot i Indyanin pchali barkę, myślała o tem, że ją oszukano. Bo mimo, że słońce rzucało radosne krążki przez przepalone szyby, mimo, że ptactwo wodne krążyło, a jaskółki otrzepywały mokre dzióbki, nie zobaczyła ptaków, co żyją na kwiatkach, ani winogron pnących się po drzewach, ani orzechów pełnych mleka, ani żab podobnych do psów.

Barka przybyła na południe. Domy nad brzegami kanału były pokryte listowiem i kwieciami. Na drzwiach czerwieniały wianki pomidorów, a całe zasłony purpurowego pieprzu zwisały u okien.

To wszystko, rzekł pewnego dnia Mahot. Niedługo wyładuje się węgiel i wracamy. Tatus się ucieszy? Co?

Barczka schyliła głowę.

Lecz rankiem, kiedy barka stała jeszcze na linie, usłyszeli drobne stukania w okrągłe szybki.

— Kłamcy! — krzyknął głos śpiewny.

Indyanin i Mahot wyszli z domku. Drobną bladą twarzyczką zwróciła się ku nim z brzegu kanału. I Barczka krzyknęła znowu, uciekając w głąb wybrzeża:

— Kłamcy! Wszyscyście kłamcy!



## DZIKA.

Ojciec Buchette'y prowadził ją z sobą do lasu od samego rana, gdzie cichutko siedziała, kiedy on rąbał drzewa. Buchette patrzyła, jak siekiera powoli wgłębia się, odłupując zrazu cienkie drzazgi kory; często szare mchy upadały jej aż na twarz. »Bacność«! krzyczał ojciec Buchette'y, kiedy drzewo chyliło się z głuchym, podziemnym trzaskiem. Potem robiło jej się trochę smutno przed długim potworem, leżącym na wyrębie z gałęziami martwymi i zranionym pnem. Wieczorami smolarnie rozpały się w mroku czerwonym kręgiem. Buchette pamiętała godzinę, kiedy należało otworzyć pleciony z situ koszyk, by podać ojcu kamienny dzbanek i kromkę czarnego chleba. Kładł się wtedy między rozłożyste, zwalone gałęzie i żuł powoli. Buchette jadła swą zupę po powrocie. Biegała naokoło znaczonych drzew a jeżeli ojciec nie

zwązał na nią to się chowała i wołała: hop! hop!

Była tam czarna jaskinia, którą nazywali Wilczą Paszczą, obrosła tarniną i pełna ech. Stojąc na palcach Buchette zaglądała tam z daleka.

Pewnego jesiennego ranka, kiedy więdnące wierzchołki drzew paliły się jeszcze wschodem, zobaczyła Buchette jakiś zielony przedmiot, poruszający się przed Wilczą Paszczą. Przedmiot miał nogi i ręce i głowę jak dziewczynka w wieku Buchette'y.

W pierwszej chwili Buchette się zlekła. Nie śmiała nawet zawołać ojca. Myślała, że to pewnie jedna z tych osób, co odpowiadają w Wilczej Paszczy, gdy się tam mówi głośno. Zamknęła oczy, bojąc się poruszeniem każdym ściągnąć straszną napaść. Lecz schyliwszy głowę usłyszała dochodzące ją ztamtąd łkanie. Zielona, zielona dziewczynka płakała. Wtedy Buchette otworzyła oczy i zrobiło jej się żal. Zobaczyła bowiem twarzyczkę zieloną i łagodną, mokrą od łez i dwie małe nerwowe rączki, zacisnięte dokoła szyi.

— Ona może upadła między złe liście co farbują, pomyślała Buchette.

I odważnie przebywszy wielkie, zjeżone apocie, pełne tarnin i porostów, zbliżyła się do dziwnej postaci. Małe zielonawe ramionka wyciągnęły się ku niej poprzez zwiędłe krzewy.

— Ona jest podobna do mnie, pomyślała Buchette, tylko ma śmieszna cerę.

Zielone, rozplakane stworzenie było nawpół odziane rodzajem tuniki uszytej z liści. Była to istotnie dziewczynka o cerze dzikiej rośliny. Buchette myślała, że ma nogi wrosnięte w ziemię, ale poruszała nimi bardzo zręcznie.

Buchette pogłaskała jej włosy i wzięła ją za rękę. Dała się uprowadzić, płacząc ciągle. Zdawało się, że nie umie mówić.

— Jezus Marya! Zielona dyablica! krzyknął ojciec Buchette'y, kiedy ją zobaczył.

— Zkąd przychodzisz mała i dlaczego jesteś zielona. Czy nie umiesz odpowiedzieć?

Nie można było dowiedzieć się nawet, czy słyszała. »Może jest głodna?« zapytał. I podał jej chleb i dzbanek. Obracała chleb w rękę, i rzu-

ciła go na ziemię; pochyliła dzbanek, słuchając szmeru wina.

Buchette prosiła ojca, żeby nie zostawić biednego stworzenia na noc w lesie. Ognie w smolarniach zapalały się kolejno w zmierzchu, a zielona dziewczynka drżąc, patrzyła w płomienie. Kiedy weszła do chaty, uciekła przed światłem. Nie mogła przyzwyczać się do ognia i krzyczała, ilekroć zapalano świecę.

Zobaczywszy ją, uczyniła matka Buchetty znak krzyża. »Dzięki Bogu, że to nie sam dyabeł, rzekła, ale pewnie też nie katoliczka«.

Zielona dziewczynka nie chciała tknąć wina, chleba, ani soli, co dowodziło, że nie mogła być chrzczona ani przystępować do komunii. Proboszcz przywołany właśnie, przechodził próg, kiedy Buchette podawała zielonej postaci gałązki grochu.

Zdawała się być tem uradowaną i zaczęła łupać paznokciami łodygę, myśląc, że wewnątrz znajdzie ziarna. Zawiedziona rozplakała się, dopóki Buchette nie otworzyła jej strączków. Wtedy zaczęła gryźć groch, przypatrując się księdzu.

Sprowadzono ze wsi nauczyciela, lecz nie wydobyto od niej ani jednego ludzkiego wyrazu, ani jednego dźwięku artykułowanego. Płakała, śmiała się lub krzyczała.

Ksiądz zbadał ją nader starannie, ale nie znalazł na jej ciele żadnego szatańskiego znaku. Następnej niedzieli zaprowadzono ją do kościoła, gdzie nie okazywała również oznak niepokojących, prócz tej jedynie, że jęknęła, kiedy ją obłano wodą święconą. Lecz nie cofała się przed krzyżem, a przesuwając rękę po świętych ranach i ukłuciach cierni, wydawała się zasmuconą.

Ludzie ze wsi patrzyli na nią z ciekawością, niektórzy z bojażnią. Mimo orzeczenia księdza mówiono o niej jako o zielonej dyablicy.

Żywiła się tylko nasionami i owocami. Ile razy dawano jej kłosa, lub gałązki strączkowe, rozłupywała drzewo lub łodygę i płakała z rozczarowania. Buchette nie zdołała nigdy wytłomaczyć jej, w którym miejscu trzeba szukać ziarna lub owocu i zawód jej był zawsze jednakowy.

Naśladowując, nauczyła się prędko nosić wodę i drzewo, zamiatać, czyścić, nawet szyć, pomimo,

że płótno składała zawsze z pewnym rodzajem wstrętu. Ale nie zdecydowała się nigdy rozpaścić ognia ani nawet zbliżyć do komina.

Tymczasem Buchette rosła a rodzice chcieli ją oddać do służby. Martwiła się bardzo i nocami pod kołdrą pokryjomu szlochała. Zielona dziewczyna patrzyła z litością na przyjaciółkę. Wpatrywała się w oczy Buchetty i własne jej źrenice napełniały się łzami. A raz nocą kiedy Buchette płakała, poczuła miękką, pieszczącą dłoń na włosach i drobne chłodne usta na twarzy.

Zbliżał się dzień, kiedy Buchette miała pójść do służby. Łkała teraz równie żałośnie jak zielona istota w dniu, gdy ją znaleziono opuszczoną przed Wilczą Paszczą.

Aż ostatniego wieczoru, kiedy już rodzice Buchette'y spali, zielona dziewczyna pogłaskała włosy płaczącej i wzięła ją za rękę. Otworzyła drzwi i wyciągnęła dłoń ku ciemności. Tak jak Buchette zaprowadziła ją niegdyś ku mieszkaniom ludzkim, tak ona powiodła ją dziś za rękę ku nieznamym wolności.



## WIERNA.

Kochanek Jeanie został marynarzem i ona była sama, zupełnie sama. Napisała list, zapieczętowała małym palcem i rzuciła go w rzekę, między długie, czerwone porosty. Tak dostanie się aż do Oceanu. Jeanie nie umiała pisać naprawdę; ale kochanek powinien był zrozumieć, bo to był list miłości. Czekwała długo odpowiedzi z morza, ale odpowiedź nie przyszła. Nie było bowiem rzeki, któraby płynęła od niego do Jeanie.

Aż wreszcie Jeanie poszła szukać kochanka. Przyglądała się kwiatom wodnym i ich schyłowym łodygom. A wszystkie kwiaty skłaniały się ku niemu. Idąc mówiła: Na wielkim morzu jest okręt, w okręcie izba, w izbie klatka, w klatce ptak, w ptaku serce, w sercu list, a w liście krótkie słowa trzy: *»kocham cię Jeanie!«* — kocham cię Jeanie jest w liście, list jest w sercu, serce w ptaku, ptak jest w klatce, klatka w izbie,

izba na okręcie, a okręt daleko, daleko na wielkimi morzu.

A że Jeanie nie bała się ludzi, przeto zapyleni młynarze widząc ją cichą i prostą ze złotym pierścieniem na palcu, udzielali jej chleba i noclegu wśród worów mąki w białym pocałunku!

Tak przeszła kraj dzikich skał, niskich lasów i łąk płaskich u brzegów rzek pod miastami. Wielu z tych, co gościli Jeanie, całowali ją, ale ona nie oddawała nigdy pocałunków, bo pocałunki niewiernej kochanki znaczą się na jej licach śladami krwi.

Przybyła wreszcie do miasta nad morzem, gdzie siadał na okręt jej kochanek. W przystani szukała napróżno nazwy jego okrętu, bo okręt był posłany daleko, aż na morze Ameryki, myślała Jeanie.

Ciemne, kręte uliczki z wysokości miasta schodziły ku wybrzeżom. Niektóre były brukowane ze strumieniem pośrodku; inne stanowiły wąskie schody ze starych kamiennych płyt.

Jeanie spostrzegła domy malowane żółto i niebiesko z głowami murzynek i malowaniem

ptactwem o czerwonych dzióbach. Wieczorem kołysały się przed drzwiami wielkie latarnie. Wchodzili tam ludzie, którzy się wydawali pijani.

Jeanie myślała, że to gospody marynarzy powracających z kraju kobiet czarnych i tęczywych ptaków. Zapragnęła więc czekać swego kochanka w gospodzie takiej, co może miała woń dalekiego Oceanu.

Podniósłszy głowę, ujrzała białe twarze kobiet, opartych o framugi okien, widocznie dla ochłody. Pchnąwszy podwójne drzwi, znalazła się w kwadratowej salce, pośród pół nagich kobiet, różowo ubranych. W głębi, w dusznym cieniu papuga leniwie łypała powiekami. W trzech dużych szklankach na stole pozostało jeszcze trochę piany.

Otoczyły ją ze śmiechem cztery kobiety, w głębi zaś spostrzegła ciemno ubraną panią, szyjącą w małej alkwie.

— Ona ze wsi, rzuciła jedna z kobiet.

— Cicho, rzekła druga, »nie trzeba nic mówić«.

I wszystkie razem wołały:

— Chcesz pić kochanie?

Jeanie dała się całować i wypita z jednej

z zostawionych szklanek. Gruba kobieta zobaczyła pierścionek.

— Wy gadacie, a to mężatka.

Wszystkie razem podjęły:

— Mężatka-ś kochanie?

Jeanie zarumieniła się bo nie wiedziała dobrze czy istotnie była mężatką i jak należało odpowiedzieć.

— Ja je znam te mężatki, odezwała się jedna z kobiet.

»Ja też, jak byłam mała, siedmiolatka, nie nosiłam spódnicy. Poszłam goła budować kościół w lesie — a wszystkie ptaki pomagały mi w robocie. Jastrząb wyrwał kamienie, gołąb grubym dzióbem wygładzał a gil grał na organach. To był mój kościół ślubny i moja msza«.

— Ale ta mała ma obrączkę, czy nie? spytała gruba kobieta.

A wszystkie razem krzyknęły:

— Obrączkę? naprawdę?

Wtedy całowały Jeanie jedna po drugiej, pieściły, dały jej pić, aż pobudziły do śmiechu panią szyjącą w alkwie.

Tymczasem przed drzwiami grały skrzypce

i Jeanie zasnęła. Dwie kobiety cicho zaniósły ją, przez małe schodki, na łóżko w pokoiku.

Potem rzekły wszystkie razem.

— Trzeba jej coś dać — ale co?

Papuga obudzona zaskrzeczała.

— Ja wam powiem, tłómaczyła gruba.

I mówiła długo pocichu. Jedna z kobiet otarła oczy.

To prawda, rzekła, tegośmy nie miały. To nam przyniesie szczęście.

— Nie? jedna na nas cztery? pytała druga.

— Zapytamy się Pani czy pozwoli, zakończyła gruba.

Nazajutrz kiedy Jeanie odeszła, miała na każdym palcu lewej ręki pierścionek ślubny. Kochanek jej był bardzo daleko; ale zastuka w jego serce, by powrócił do niej, swymi pięcioma pierścionkami ze złota.

225

## OSTRZEŻONA.

Jak tylko dostatecznie już dorosła, Ilza powzięła zwyczaj stawać co rana przed zwierciadłem i mówić: »Jak się masz mała Ilzo«. Potem całowała szkło, ściągając wargi. Obraz zdawał się zaledwie przybliżać. Był istotnie bardzo daleko. Tamta Ilza, bledsza, wynurzająca się z głębokości zwierciadła, była niewolnicą o zamarzłych ustach. Ilza litowała się nad nią, bo wydawała się jej smętną i okrutną. Jej poranny uśmiech był bladym świtem, jeszcze powleczo-nym grozą nocy.

Ilza kochała ją jednak i mówiła: »Nikt nie wita się z tobą, Ilzo biedna. Chodź, pocałuj mnie. Pójdziemy dziś razem na przechadzkę. Mój narzeczony wyjdzie na nasze spotkanie. Pójdź«. I odwracała się a tamta Ilza melancholijnie uciekała w świetlisty mrok.

Ilza pokazywała jej swoje lalki i ich stroje:

»Baw się ze mną. Przebierajmy się razem«. Tamta, jakby zazdrosna podnosiła ku niej lalki bielsze i stroje wyblakłe. Nie mówiła nic, poruszała tylko ustami równocześnie z Ilzą.

Czasem gniewała się Ilza jak dziecko na niemą panią, która gniewała się na nią z kolei. »Niedobra, niedobra Ilzo! wołała!« »Odpowiedz mi raz! Pocałuj mnie!« I uderzała dłonią lustro. Dziwna ręka nie trzymająca się żadnego ciała, zjawiała się nagle przed jej dłonią. Nigdy Ilza nie mogła dosięgnąć tamtej Ilzy.

Przez noc jednak przebaczała zawsze i szczęśliwa, że ją odnajduje, wyskakiwała z łóżka, by pocałować ją i powiedzieć: »jak się masz mała Ilzo«.

Kiedy Ilza miała już naprawdę narzeczonego, przyprowadziła go przed zwierciadło i rzekła tamtej Ilzie. »Popatrz na mego kochanego, ale nie patrz zadługo. On jest mój, tylko chcę, żebyś go widziała. Jak pobierzemy się, pozwolę mu całować cię wraz ze mną codzień rano«. Narzeczony się śmiał. Ilza ze zwierciadła uśmiechnęła się także. »Prawda, jest piękny i Kocham go?« spytała Ilza. »Tak tak«, odrzekła tamta Ilza.



»Jeżeli za długo będziesz na niego patrzeć, nie przyjdę cię już nigdy pocałować, rzekła Ilza, jestem równie zazdrosną jak ty. Pamiętaj. Do widzenia Ilzo«.

W miarę jak Ilza nauczyła się kochać, Ilza w zwierciadle stała się smutniejszą. Bo przyjaciółka nie приходziła całować jej co rano. Zapomniała o niej. Częściej obraz ukochanego witał po nocy przebudzenie Ilzy. W ciągu dnia Ilza nie widziała pani ze zwierciadła, bo wtedy patrzył na nią ukochany. »Oh, — mówiła Ilza — szkaradny, nie myślisz już o mnie. Patrzysz na tamtą. Ona jest niewolnicą, nie przyjdzie nigdy. Ona jest zazdrosną o ciebie, ale ja jestem bardziej zazdrosną. Nie patrz na nią ukochany, patrz na mnie. Niedobra Ilzo ze zwierciadła, zabraniam ci odpowiadać memu kochanemu. Nie możesz przyjść; nie możesz nigdy przyjść. Nie zabieraj mi go, niedobra Ilzo. Gdy już się pobierzemy, pozwolę mu całować cię wraz ze mną. Ciesz się Ilzo. Będziesz zawsze z nami«.

Ilza zaczęła być zazdrosną o tamtą Ilzę. Jeżeli dzień zachodził, a kochanka nie było: »To ty go wyganiaasz«, krzyczała, »to ty go wyga-

niasz swoją złą twarzą. Niedobra, idź sobie! zostaw nas! Wreszcie zakryła zwierciadło białą cienką zasłoną. Przybijając ostatni gwoździć, podniosła jeden róg i rzekła: »Do widzenia Ilzo«.

Pomimo tego narzeczony zdawał się być znużonym. »Nie kocha mnie już — myślała Ilza, — nie przychodzi, jestem taka sama, sama. Gdzież tamta Ilza. Czyżby odeszła z nim?« Rozciąła nieco płótno małemi złotemi nożyczkami, by zajrzeć w głąb. Zwierciadło było powleczone białą mgłą.

»Odeszła«, pomyślała Ilza.

»Trzeba, postanowiła, być bardzo cierpliwą. Tamta Ilza będzie smutną i zazdrosną. Mój ukochany wróci. Trzeba umieć czekać«.

Co dzień rano zdało jej się w pół-śnie, że widzi tę głowę na poduszce koło swojej twarzy. »Oh, kochanku mój — szeptała, — więc wróciłeś. Jak się masz, jak się masz ukochany«. Wyciągała rękę i dotykała zimnych płócien. »Trzeba — myślała znowu, — być bardzo cierpliwą«.

Długo czekała powrotu kochanka. Cierpliwość jej rozplynęła się w łzach. Wilgotna mgła przesła-

niała jej oczy. Mokre bruzdy zorały policzki. Cała twarz rysowała się i żłobiła. Każdy dzień, każdy miesiąc, każdy rok ciążył nad nią coraz boleśniej.

»O ukochany — rzekła Ilza, — zwątpiłam o tobie«.

Rozcięła białe płótno na powierzchni lustra, a w bladej ramie ukazało się zwierciadło pełne czarnych plam. Szybka lustrzana poryta była jasnymi bruzdami, a w miejscach gdzie srebrzysty spód odpadał od szkła, widać było mroczne jeziora.

Tamta Ilza zjawiała się w głębi zwierciadła tak, jak i Ilza ubrana czarno, z wychudłą twarzą, dziwacznie pomarszczoną plamami szkła, które odbija i w czarnej próżni. Zwierciadło zdawało się płakać.

»Jesteś smutna jak ja«, rzekła Ilza.

Pani ze zwierciadła zapłakała. Ilza pocałowała ją i rzekła: »Dobranoc, biedna Ilzo«.

Lecz wchodząc do sypialni z lampą w ręku Ilza zdziwiła się: bo z lampą w ręku szła ku niej tamta Ilza, patrząca smutnie. Ilza podniosła lampę ponad głowę i usiadła na łożu. I tamta

Ilza podniosła lampę ponad głowę i siadła obok niej.

Rozumiem już, pomyślała Ilza. Pani ze zwierciadła wyzwoliła się. Przyszła po mnie. Mam umrzeć.

225

## MARZYCIELKA.

Po śmierci rodziców została Maryola w ich chacie sama ze starą niańką. Nie zostawili jej po sobie nic prócz strzechy zczerniałej i dużego starego komina. Bowiem ojciec Maryoli był baśniarzem i budowniczym snów. Jakiś przyjaciel jego pięknych marzeń użyczył mu nieco ziemi, aby mógł budować i nieco pieniędzy, aby mógł rozmyślać. A on mieszał długo rozliczne gatunki gliny z pyłami metali, pragnąc wytworzyć boską emalję. Próbował topić i złocić przedziwne szkła. Rozczyniał i przetapiał twardą miazgę metali, że wystudzony brąz tęczał jak powierzchnia umarłych wód. Lecz pozostały po nim ledwie dwa albo trzy zczerniałe tygle, płyty brązu postapiane i zatarte i siedem wielkich wyblakłych dzbanów nad okapem komina. A po matce Maryoli skromnej dziewczynie wiejskiej nie pozostało nic; bo wyzbyła

się dla »wypalacza« nawet swego srebrnego szkaplerza.

Maryola rosła przy ojcu, który nosił zielony fartuch; miał ręce zawsze czarne, a źrenice błyszczące od ognia. Rosła w snach i w podziwie dla siedmiu dzbanów nad ogniskiem, powleczonych dymem, pełnych tajemnic, podobnych tęczy porwanej falistej. Oto z krwawego dzbana wywołała Morgiana, rozbójnika ociekającego oliwą, z szablą zdobną kwiatami Damaszku. W dzbanie pomarańczowym można było jak Aladyn odnaleźć rubinowe owoce, śliwy ametystów, wiśnie granatów, pigwy topazów, grona opalów i jagody dyamentów. Żółty dzban pełen był złotego piasku, który Kamaralzaman ukrył pod oliwkami. Pod pokrywą widać było nieco jedną oliwkę, a brzeg dzbana połyskał. Dzban zielony miał być zamknięty wielką miedzianą pieczęcią króla Salomona. Wiek pokrył ją już szarawą patyną, bo ten dzban niegdyś leżał w Oceanie i od milionów lat krył w sobie ducha królewicza. Dziewczyna młoda i bardzo mądra umiałaby przełamać zaklęcie w pełni księżycowej za zezwoleniem króla Salomona, który dał głos zio-

łom mandragory. W dzbanie jasno-błękitnym zamknęła Giauhara wszystkie swe szaty morza tkane porostami, sadzone berylamy, malowane purpurą muszli. Cały błękit ziemskiego raju i owoce drzewa i splomienione łuski węża i ognisty miecz anioła krył dzban ciemno-błękitny, podobny do lazurowego kielicha olbrzymiego kwiatu południa. A tajemnicza Lilith wlała cały błękit niebieskiego raju w ostatni dzban: że wznosił się fioletowy i sztywny niby infuła biskupia.

Ci, którzy nie znali tajemnicy, widzieli tylko siedem starych wyblakłych dzbanów nad okapem komina. Ale Maryola znała prawdę z opowiadań ojca. Przy zimowem ognisku w pierzchliwym blasku płomieni komina i świecy, aż do godziny snu słuchała szmeru cudów.

Tymczasem w chacie brakło chleba i soli, a niańka błagała Maryolę: Idź za mąż kwiatuszku złoty, mawiała, twoja matka myślała o Janie. Czy nie wyszłabyś za Jana? Moja Jolo, moja Jolo, taka śliczna mężatka byłaby z ciebie.

Królewna Maryola miała rycerzy, odpo-

wiała marzycielka, ja muszę mieć królewicza.

Królewno Maryolo, mówiła niańka, poślub Jana, a stanie się królewiczem.

Nigdy niańko, odrzekła marzycielka, wołę prząść. Czekam dyamentów i bogatych szat dla piękniejszego ducha. Kup lnu i kądziel i nowe wrzeciono. Niezadługo już będziemy w naszym zamku. Obecnie jego mury wznoszą się w czarnej pustyni Afryki. Mieszka tam czarodziej zalany krwią i trucizną. Do wina pielgrzymów dosypuje ciemnego pyłu, który ich zmienia w dzikie zwierzęta. Zamek oświetlają żywe pochodnie, a czarni niewolnicy usługujący do uczt, noszą złote wieńce na głowach. Królewicz mój zabije czarodzieja, a zamek zjawi się w naszej wsi i ty będziesz kołysała moje dziecko.

— O Maryolo, poślub Jana, rzekła stara niańka.

Maryola siadała prząść. Cierpliwie obracała wrzeciono, zwijała i rozwijała len, kądziel stawała się cieńszą, to znów grubszą. Jan siadał obok niej i patrzył z zachwytem. Lecz ona nie zwracała nań nawet uwagi. Bo siedem dza-

nów z nad wielkiego komina, pełne były snów. Przez dzień zdało jej się, że słyszy w nich jęki lub śpiew. Lecz kiedy zatrzymywała wrzeczono, kądziel przestawała furczeć i użyzczać dzbanom swoich szmerów.

— O, Maryolo, poślub Jana! mawiała stara niańka każdego wieczora.

Nocami marzycielka wstawiała. Jak Morgiana, rzucała ziarnka piasku w dzbany, aby obudzić cuda. Ale rozbójnik spał, i drogocenne owoce nie brzęczały, ani się sypał piasek złoty, ani szeleściwały jedwabie szat; a pieczęć Salomona przygniatała ciężko uwięzionego królewicza.

Maryola rzucała kolejno ziarnka piasku. Siedemkroć uderzały o twardą glinę dzbanów i siedemkroć powracała cisza.

— O Maryolo poślub Jana, mawiała stara niańka każdego ranka.

Aż raz Maryola zmarszczyła brew na widok Jana i Jan nie przyszedł więcej. A starą niańkę znaleziono martwą rankiem, i uśmiechniętą. A Maryola włożyła suknię czarną i ciemny zawój i przędła dalej.

Co noc wstawiała i jak Morgiana rzucała

ziarnka piasku w dzbany, aby obudzić cuda. Ale sny spały wiecznie.

Maryola postarzała w cierpliwości swojej. A królewicz uwięziony pod pieczęcią króla Salomona, musiał być wiecznie młody, przeżywszy miliony lat. W jedną noc pod pełnią księżyca, marzycielka wstała niby morderczyni i wzięła młot. Rozbiła wściekle sześć dzbanów a pot męki płynął jej z czoła. Dzbany jęły i otwały się: były puste. Zawahała się przed dzbanem, w który Lilith przelała liljowy raj; potem rozbiła go jak inne. Pomędzy szczątki spadła zeszcła i szara róża Jerychońska. A kiedy Maryola podjęła ją, ażeby zakwitła — rozsypała się w proch.

RS

## WYŚLUCHANA.

Podkuliwszy nóżki w swoim małym łóżeczku Cesia przyłożyła ucho do ściany. Okno było blade. Ściana drżała i zdawała się spać przytłumiwszy oddech. Mała, biała spodniczka wyděła się na krześle, z którego dwie pończochy zwisały jak nogi czarne, miękkie i puste. Suknia znaczyła się tajemniczo na ścianie, jakby chcąc wdrapać się aż na sufit. Deski w podłodze skrzypiały lekko w ciemności. Dzbanek z wodą podobny był do wielkiej, białej ropuchy, przykucniętej w miednicy i chłonej mrok.

— Jestem zanadto nieszczęśliwa! rzekła Cesia. I zaczęła płakać pod kołdrą. Ściana westchnęła głośnie, ale dwie nogi czarne nie poruszyły się, suknia nie wdrapała się wyżej a biała przykucnięta ropucha nie zamknęła wilgotnej paszczy.

Cesia rzekła jeszcze:

— Kiedy mnie tu nikt nie chce, kiedy kochają tylko moje siostry w tym domu, kiedy kazali mi pójść spać podczas obiadu, to ja sobie pójdę, tak pójdę sobie bardzo daleko! Jestem kopciuszek, ot co jestem. Już ja im pokażę. Będę miała królewicza, a one nie będą miały nikogo, zupełnie nikogo. I przyjadę moim cudnym powozem razem z królewiczem, ot co zrobię. Jeżeli będą dobre przez ten czas, to im daruję. Zobaczycie, że biedny kopciuszek lepszy jest niż wy.

Serduszko jej jeszcze mocniej ścisnęło się, kiedy wkładała pończochy i wiązała spódniczkę. Krzesło zostało puste i opuszczone w środku pokoju.

Cesia wyszła cicho do kuchni i płakała znowu, uklększy przed kominem z rękami w popiele.

Szmer monotonnego mruczenia obudził ją. Miękkie, kosmate ciało otarło się o jej nogi.

— Nie mam wprawdzie chrestnej matki, mówiła Cesia, ale mam swego kota, prawda?

Wyciągnęła palce a on polizał je leniwie jakby ciepłą tarczką.

— Chodź! rzekła Cesia.

Pchnęła drzwi ogrodu i poczuła nagły chłodny wiew. Plama ciemnej zieleni odcinała się na murawie. Wielki jawor drżał, a gwiazdy zdawały się wisieć wśród gałęzi. Ogród warzywny był jasno oświetlony, a klosze szklane na melonach połyskiwały.

Cesia przesunęła się w wysokiej trawie, co połaskotała ją z lekka. Pobiegła między szklane klosze, po których przelatały krótkie błyski.

— Ja nie mam chrzestnej matki. Czy umiesz zrobić powóz kocie, spytała.

Zwierzątko ziewnęło, podnosząc łebek ku niebu, po którym goniły się szare chmurki.

— Nie mam jeszcze królewicza, mówiła Cesia. Kiedyż przyjedzie?

Usiadłszy obok wielkiego fioletowego ostu patrzyła na płot ogrodowy, potem zdjęła jeden pantofelek i rzuciła go z całej siły ponad krzakiem agrestu. Pantofelek upadł na drogę.

Cesia pogłaskała kota, mówiąc.

— Słuchaj kocie. Jeżeli królewicz nie odniesie mego pantofelka, to kupię ci buty i powędrujemy razem go szukać. To bardzo piękny mło-

dzieniec. Ma szatę zieloną sztyłą dyamentami. Kocha mnie bardzo, choć mię nigdy nie widział. Ty nie będziesz zazdrosny. Będziemy mieszkać razem wszyscy troje. Będę szczęśliwsza od kopcuszka, bo byłam biedniejszą od niego. Kopcuszek chodził na bal co wieczora i dostawał wspaniałe suknie. Ja mam tylko ciebie mój kocie kochany.

Pocałowała go w wilgotny, atlasowy nosek. Kot miauknął lekko i przesunął łapką po uchu. Potem zaczął się myć i mruzczeć.

Cesia narwała agrestu.

— Jeden dla mnie, jeden dla królewicza, jeden dla ciebie. Jeden dla ciebie, jeden dla mnie, jeden dla królewicza. Tak będziemy żyć. Będziemy dzielić wszystko na troje i nie będziemy wcale mieli złotych sióstr.

Szare chmury zebrały się na niebie. Na wschodzie podnosił się blady pas. Drzewa kąpały się w zimnym przedświcie. Nagły pęd mroźnego wiatru, wydał spódniczkę Cesi. Wszystko się zatrzęsło. Fioletowy oset przygiął się parę razy. Kot przeciągnął się i najeżył sierść.

Cesia usłyszała z daleka na drodze twardy

turkot kół. Przyćmiony blask przebiegł po rozkołysanych wierzchołkach drzew i po dachu małego domku.

Potem turkot przybliżył się. Słychać było rzenie koni i zmięszany gwar głosów ludzkich.

— Słuchaj kocie, rzekła Cesia, słuchaj. Wielki powóz nadjeżdża. Powóz mojego królewicza. Prędko! prędko! zaraz nas zawoła.

Pantofelek ze złoto-brązowej skórki, przeleciał nad agrestem i padł między melony.

Cesia podbiegła otworzyć plecioną furtkę.

Długi, czarny wóz przesuwał się ciężko. Dwurożny kapelusz woźnicy oświecony był czerwonym płomieniem. Dwóch czarnych ludzi szło po obu stronach koni. Tylna część wozu była niska i długa w kształt trumny. Mdlawy zapach unosił się w porannym wietrze.

Ale Cesia nie zrozumiała. Widziała tylko jedno: cudowny powóz nadjechał. Woźnica królewicza miał głowę strojną złotem. Ciężka skrzynia pełna była klejnotów ślubnych. Ta woń straszna i wzniosła owiewała go królewskością.

I Cesia wyciągnęła obie ręce, wołając:

Królewiczu, zabierz mnie! zabierz mnie!



## NIECZUŁA.

Królewna Morgana nie kochała nikogo. Była czysta i zimna, żyjąc pośród kwiatów i zwierciadeł. Wpinała we włosy róże pąsowe i podziwiała się. Nie widziała nigdy żadnej dziewczyny ani młodzieńca, bo tylko przeglądała się w ich oczach. Nie знаła okrucieństwa ani namiętności. Czarne jej włosy spływały po obu stronach twarzy jak fale senne. Chciała pokochać siebie samą. Lecz odbicie jej w zwierciadłach, miało chłód dalekości i spokoju, odbicie w stawach było blade i ponure a w rzekach uciekało drżąc.

Królewna Morgana wyczytała w księgach dzieje zwierciadła Śnieżki, które umiało mówić i ostrzegło ją przed śmiercią i baśń o zwierciadle Ilzy, z którego wyszła druga Ilza i zabiła Ilzę, i wieść o nocnem zwierciadle miasta Miletu, które przyprawiało o śmierć dziewczęta Mileckie wśród zapadającej nocy. Widziała ta-



jemnicze malowidło, na którym kochanek trzyma nad kochanką miecz, zobaczyli bowiem sami siebie we mgle wieczornej: a takie rozdwójnie zwiastuje śmierć. Ale nie lękała się swego obrazu, bo widziała się zawsze tylko nieskalaną i przesłoniętą, nigdy okrutną ani żądną — sobą dla siebie. I ani polerowne zielono złote blachy, ani ciężkie opony żywego srebra nie ukazały Morganie — Morgany.

Kapłani jej kraju byli wieszczbierzami i czciicielami ognia. Wsypali piasek w czworogranną skrzynkę i kreślili w nim linie; obliczyli za pomocą talizmanów w pergaminach zamkniętych, uczynili zwierciadło czarne z wody zmieszanej z dymem. A wieczorem Morgana przyszła do nich i cisnęła w ogień trzy podpłomyki ofiarne. »Patrz«, rzekł wieszczbierz; i wskazał jej czarne płynne zwierciadło. Morgana spojrzała: i oto najpierw opar jasny przemknął przez powierzchnię, potem zakipiał tęczyowy krąg, a wreszcie powstał obraz i przesunął się zlekka. Był to dom biały, sześcienny o długich oknach. A z trzeciego okna zwisał ciężki, bronzowy pierścień. Dokoła roztaczał się szary piasek. »To jest

miejsce, rzekł wieszczbierz, gdzie znajduje się prawdziwe zwierciadło, ale wiedza nasza nie umie go wskazać ni określić«.

Morgana skłoniła się i rzuciła w ogień trzy nowe podpłomyki ofiarne. Ale obraz zahybotał się i zamroczył; biały dom zapadł w głębi i Morgana daremnie wpatrywała się w czarne zwierciadło.

Następnego dnia, zapragnęła puścić się w drogę. Zdało jej się, że poznaje martwy kolor piasku — i skierowała się na wschód. Rodzic dał jej orszak, wybrany z mułami o srebrnych dzwoneczkach i niesiono ją w lektyce, która miała ściany z kosztownych zwierciadeł.

Tak przebyła Porsyę, śledząc gospody samotne, co stoją obok studzien i goszczą gromady spokojnych wędrowców, i domy osławione, po których nocą kobiety śpiewają, uderzając w krążki mosiężne.

A u kresów perskiego władztwa zobaczyła wiele domów białych, sześciennych o długich oknach. Ale nigdzie nie zwisał pierścień z brązu. I powiedziano jej, że pierścień znajduje się na wschodzie, w kraju chrześcijan, Syryi.

Morgana minęła płaskie wybrzeża nadrzeczne kraju równin wilgotnych, gdzie rosną lasy lukrecyi. Stały tam zamki wykute z jednej smukłej skały na wysokim szczycie; a kobiety siedzące na słońcu przy przejściu karawany miały obramienie rudego włosa dokoła czół. Tam mieszkają ci, co wodzą stada koni i noszą lance ze srebrnym okuciem.

A dalej była góra dzika, mieszkanie rozbójników, co piją wódkę ze zboża, na cześć swoich bóstw. Wielbią zielone kamienie dziwacznych kształtów i oddają się rozpuście jedni z drugimi, w kręgu zapalonego krzewia. I Morgane przejęła zgroza.

A dalej był podziemny gród ludzi czarnych, których nawiedzają bogowie ich jedynie podczas snu. Ci jedzą łodygi konopne i nacierają sobie twarz kredowym pyłem. A którzy się upoją nocami, zabijają tych, co śpią, aby ich wysłać wcześniej do nocnych bóstw. I Morgane przejęła zgroza.

A dalej rozciągała się pustynia szara i piaszczysta, gdzie głazy i rośliny mają barwę pia-

sku. Wstępując na tę pustynię odnalazła Morgana gospodę pierścienia.

Kazała zatrzymać lektykę, mulnicy rozpręgli muły. Dom był stary, budowany z niespajanych głazów; a płyty kamienne pobiełały od słońca. Ale właściciel gospody nie umiał powiedzieć jej nic o zwierciedle; bowiem nie widział go nigdy.

A wieczorem po spożyciu sucharów podróźnych właściciel gospody opowiedział Morganie, że dom ten był w pradawnych czasach mieszkaniem okrutnej królowej. I karę poniosła królowa za okrucieństwa swoje: bowiem rozkazała ściąć głowę człowiekowi zbożnemu, co żył pustelniczo wśród obszarów piasku i z dobrem słowem kąpał przechodniów w wodzie rzeki. Zaraz potem umarła królowa i cały jej ród. A komnatę królowej w domu jej zamurowano.

Właściciel gospody wskazał Morganie drzwi zawalone głazami. Następnie wędrowcy położyli się na spoczynek w kwadratowych komnatach i pod okapami. Ale w połowie nocy Morgana obudziła mulników i kazała odbić zawa-

lone drzwi. I weszła poprzez wyłom kurzący z żelazną pochodnią w rękę.

Nagle ludzie Morgany usłyszeli krzyk i wbiegli za królową. Klęczała w środku zamurowanej komnaty przed misą z miedzi kutej, napełnioną krwią i wpatrywała się w nią uporczywie. A właściciel gospody wznosił ramiona, bo krew na misie nie zastygła nawet w zamkniętej komnacie od czasu, jak okrutna królowa położyła na niej głowę ściętą.

Nikt nie wie, co ujrziała królowa Morgana w zwierciedle krwi. Ale w powrotnej drodze mulników jej znaleziono zamordowanych kolejno każdej nocy, szarą twarzą zwróconych ku niebu, po nawiedzeniu lektyki królowy. I nazwano tę królową Morganę »Morganą krwawą« i stała się sławną nierządnicą i morderczynią.



## POŚWIĘCONA.

Lili i Nan służyły w gospodzie. W lecie nosiły wodę ze studni ścieżyną ledwie widoczną wśród dojrzałych zbóż; w zimie, kiedy był mróz i sople lodu zwisały u okien, Lili przychodziła spać do Nan. Skulone pod kołdrą słuchały jak wiatr wyje. Miały zawsze w kieszeniach białe pieniądze i fartuszki cienkie z czerwonymi wstęgami. Jasnowłose obie i uśmiechnięte. Co wieczora w rogu komina stawiały cebrzyki czystej świeżej wody; gdzie również znajdowały, jak mówiono, wyskakując co rano z łózek, srebrne pieniądze, któremi dzwoniły. Bo »skrzaty« rzucaly je do cebrzyka wykąpawszy się w nim. Ani Nan, ani Lili, ani nikt nie widział skrzatów, chyba w bajkach lub balladach, gdzie występują jako małe czarne i złe stworzenia o skręconych ogonach.

Jednej nocy Nan zapomniała wyciągnąć ce-

brzyk z wodą; a było to jeszcze w grudniu, gdy zardzewiały łańcuch studni był powleczone lodem. Kiedy spała z rękami na ramionach Lili, nagle poczuła, że ktoś ją szczypie w ręce i w nogi i bezlitośnie ciągnie za włosy. Obudziła się z płaczem. »Jutro będę sina i czarna, uściśnij mnie Lili! nie postawiłam cebrzyka pięknej świeżej wody, ale nie wyjdę z łóżka, choćby miały tu przyjść wszystkie skrzaty Dewonshire'u. Wtedy dobra Lili uściśniła ją, wstała, wyciągnęła wodę i postawiła cebrzyk w kącie komina. Kiedy się znowu położyła, Nan już spała.

I Lili miała sen. Zdawało jej się, że królowa odziana w zielone liście ze złotą koroną na głowie, zbliżyła się do jej łóżka, dotknęła jej ramienia i rzekła: »Jestem królowa Mandozyana: Lili pójdź do mnie«. I rzekła jeszcze: »Siedzę na łące szmaragdów, a droga, która wiedzie ku mnie, jest trójkolorowa: żółta, błękitna i zielona«. I rzekła: »Jestem królowa Mandozyana, Lili pójdź do mnie«.

Potem już Lili wtuliła głowę w czarne węzłowie nocy i nie widziała nic. Lecz rankiem kiedy piałą kury, Nan nie mogła zupełnie się podnieść

i wydawała skargi żalosne, bowiem obie jej nogi były bez czucia i niezdolne do ruchu. W dzień lekarze orzekli po długich badaniach, że zostanie tak pewnie na zawsze i nigdy nie będzie mogła chodzić. I biedna Nan szlochała; bo pewnie nigdy już nie znajdzie męża.

Lili litowała się nad nią. Obierając jabłka zimowe, przesypując miszpułki, robiąc masło, ocierając z mleka zaczerwienione ręce, myślała ciągle o tem, jakby uzdrowić biedną Nan. Zapomniała o dawnym śnie, aż raz wieczorem kiedy padał gęsty śnieg, a w gospodzie pili grzane piwo z serem, stary przekupień ballad zastukał do drzwi. Wszystkie dziewczęta obskoczyły go, bo stary miał rękawiczki, piosenki miłosne, wstążki, płótna Hollandzkie, podwiązki, szpilki i stroiki złote.

— Macie tu smutną historję, — mówił — o lichwiarce, przez cały rok noszącej dwadzieścia worków dukatów, aż jej przyszła dość dziwna chęćka na smażone główki żmii i duszone ropuchy.

»Macie tu balladę o wielkiej rybie, co wyszła na brzeg w dniu czternastym kwietnia z wody

głębokiej na czterdzieści sążni i wypluła pięć kwaterek pierścionków zaręczynowych zzieleniałych całkiem od wody morskiej.

»Macie tu piosenkę o trzech złych córkach królewskich i o tej, co wylała puchar krwi na brodę swego ojca.

»Miałem także przygody królowej Mandozyany; ale wiatr szelma porwał mi ostatnią kartkę na zawrocie drogi«.

Natychmiast Lili przypomniała sobie swój sen i poznała, że królowa Mandozyana rozkazuje jej przyjść.

Tejże nocy ostrożnie pocałowała Nan, włożyła nowe trzewiki i poszła sama w drogę. Ale stary przekupień ballad znikł i jego kartka uciekła tak daleko, że Lili nie mogła już jej odnaleźć; nie wiedziała nawet, kto była królowa Mandozyana, ani gdzie należało jej szukać.

I nikt nie mógł jej powiedzieć, mimo, że pytała o drogę starych rolników, co długo potem patrzyli za nią, zastaniając się ręką od słońca i młodych kobiet brzemiennych, rozmawiających leniwie przede drzwiami i dzieci, którym nachylała gałęzie dojrzałych morw poprzez

płaty. Jedni mówili: »Dziś niema już królowych«, inni: »Tego u nas nie znają; to za dawnych czasów...« Inni znów: »Czy to imię ładnego chłopca?« A jeszcze inni, ludzie źli, zaprowadzili Lili przed jeden z tych domów miejskich, co są zamknięte w dzień, a w nocy otwierają się szeroko, rozświecone i zapewniali, że królowa Mandozyana przebywa tam ubrana w czerwona koszulę, a nagie kobiety jej usługują.

Ale Lili wiedziała, że prawdziwa królowa Mandozyana była ubrana zielono nie czerwono, i że trzeba przejść do niej trójkolorową drogę. Tak przejrzała kłamstwo. Tymczasem szła już długo. Z pewnością minęła lato swego życia, wędrując tak poprzez biały kurz, przez błoto wyłożonych kolei, obok podróżynych bryk, a niekiedy wieczorem, gdy niebo oblecze się we wspaniałą purpurę, za wielkimi, zwożącymi zboże wozami, na których kołysze się kilka świecących kos. Ale nikt nie umiał jej powiedzieć o królowej Mandozyanie.

Ażeby nie zapomnieć tak trudnego imienia, Lili zawiązała sobie trzy węzły u zapaski. Raz w południe idąc daleko w stronę, gdzie słońce

wstaje, weszła na drogę żółtą, krętą, co obramiała błękitny kanał. A kanał szedł równo z drogą i zielony spadzisty brzeg zaznaczał ich kontury. Po bokach rosły kępy drzewek; a jak daleko wzrok mógł dosięgnąć, widać było bagniska i zielonawy cień. Między plamami bagna wznosiły się małe stożkowate szalasy, a cała droga wiodła prosto w krwawą pożogę zachodu.

Tam spotkała małego chłopca o dziwacznie wielkich oczach, który holował dużą łódź wzdłuż kanału. Chciała go zapytać, czy widział królową i nagle spostrzegła z przerażeniem, że zapomniała jej imienia. Więc krzyknęła i zaczęła płakać, chwyciła zapaskę, napróżno. I krzyknęła głośniejsz widząc, że idzie drogą trójkolorową: żółtego piasku, zielonego wybrzeża i błękitnego kanału. Znowu chwyciła trzy splecione węzły i rozszłochała się. Mały chłopiec widząc jak cierpi, a nie pojmując wcale jej bólu, zerwał na skraju żółtej drogi drobną trawkę i wsunął jej w dłoń.

»Mandozyana uzdrawia«, rzekł.

I tak znalazła Lili królową swą odzianą w zielone liście. Zacisnęła ją w dłoni i poszła w drogę powrotną. A powrót dłuższy był, bo

Lili była zmęczona. Zdawało jej się, że szła całe lata. Ale szła w radości, bo wiedziała, że uzdrowi Nan.

Przebyła morze o potwornych falach, i wreszcie dostała się do Dowru, mając, swą trawkę na piersiach za koszulą. I najpierw nie poznała drzew; i wydało jej się, że trzody są inne. A w dużej izbie zobaczyła starą kobietę otoczoną dziećmi. Podbiegła ku niej, pytając o Nan. Stara zdziwiona popatrzyła na Lili i rzekła:

— Ależ Nan wyjechała oddawna i zamężna.

— I uzdrowiona? zapytała radośnie Lili.

— Uzdrowiona! tak... pewnie, rzekła stara. Ale ty biedna, czy nie jesteś Lili?

— Tak, odrzekła Lili; więc ileż lat mogę mieć teraz?

— Z pięćdziesiąt lat, prawda babciu, wołały dzieci, ona nie jest jeszcze taka zupełnie stara, jak ty.

I podczas gdy Lili zmęczona, uśmiechała się, nazbyt silna woń mandozyany zamąciła jej zmysły i Lili w słońcu umarła. Tak wędrowała szukać królowej Mandozyany i została przez nią zabrana.



III.  
**MONELLA.**

III  
MONELLI.

## O JEJ ZJAWIENIU.

Sam nie wiem jak zaszedłem poprzez mżący deszcz do tego dziwnego straganu, co mi się zjawiał w ciemności. Nie pamiętam miasta ani roku: przypominam sobie, że pora była słotna, bardzo słotna.

W tym czasie ludzie spotykali po drogach małe, wędrowne dzieci, co nie chciały rosnąć. Dziewczynki siedmioletnie błagały na kolanach, żeby ich wiek nie posuwał się naprzód, a dojrzałość zdawała się wymierać. Pod szarem niebem odbywały się białe pielgrzymki i małe, ledwie mówiące cienie, napominały narody dziecięce. Pragnęły one tylko wiecznej nieświadomości. Chciały poświęcić się ciągłej zabawie. Rozpaczały nad trudem życia. Wszystko dla nich tonęło w przeszłości.

W szarych dniach tej pory słotnej, bardzo słot-



nej zobaczyłem drobne, płonące światełka małej przekupki lamp.

Podszedłem pod daszek jej straganu, a woda spłynęła mi po głowie, kiedy się schyliłem.

I spytałem:

— Co sprzedajesz mała, w tę smutną porę deszczów?

— Lampki, odpowiedziała, tylko zapalone lampki.

— W istocie, rzekłem, i cóż są te lampki płonące wielkości małego palca, co świecą blaskiem nikłym, niby główka szpilki.

— To są, rzekła, lampki tej pory mrocznej. A dawniej to były lampki dla lalek. Ale dzieci już nie chcą rosnać. Dlatego też sprzedają te lampki, rozświecające ledwie mroczny deszcz.

— I tak żyjesz, spytałem, mała przekupko lamp, ubrana czarno? A czy wyżywasz się przynajmniej z pieniędzy, które ci płacą dzieci za twe lampki?

— Tak, rzekła, skromnie. Ale zarabiam bardzo mało. Ten ponury deszcz często gasi mi lampy, w chwili, gdy je podaję. A zgaszonych dzieci już nie chcą. Nikt nie umie ich na

nowo zapalić. Zostały mi już tylko te, i wiem, że innych nie znajduję. A jak je rozprzedam, zostaniemy w ciemnościach deszczu.

— Czyż to jedyne, pytałem, światło, tych ponurych czasów? I jakże można oświecić taką małą lampką wilgotne ciemności?

— Deszcz je często gasi, rzekła, i na polu lub na ulicy trudno z nich korzystać. Ale trzeba się zamknąć. Dzieci osłaniają moje lampki ręką i zamykają się. Zamykają się każde z lampką i lusterkiem. Ona wystarcza by im pokazać ich obraz w lustrze.

Patrzyłem chwilę na biedne, roztrzepotane płomyki.

— Niestety, mała przekupko, twoje światło jest smutne, rzekłem, a obrazy w lustrach muszą być równie smutne.

— One nie są smutne, odrzekło czarno ubrane dziecko, pochylając głowę, tyle, że nie rosną. Ale moje lampki nie są wieczne. Płomyk ich maleje jakby się mroczył od deszczu. A kiedy lampki gasną, dzieci nie widzą światła w lustrze i wpadają w rozpacz; bowiem boją się, że nie spostrzegą chwili, kiedy zaczną rosnać. I jęcząc ucie-

kają w mrok. Ale wolno mi sprzedawać każdemu dziecku jedną tylko lampę. Jeżeli próbuje kupić drugą, zagasa mu w rękę.

I pochyliłem się bliżej ku małej przekupce i chciałem wziąć jedną z jej lampek.

— Nie trzeba ich ruszać, rzekła. Przeszedłeś już wiek, w którym się palą moje lampy. One są tylko dla lalek i dzieci. Czyż nie masz żadnej lampy dla dorosłych?

— Niestety, rzekłem. W tej mrocznej porze deszczu, w tym pośępnym i bezpamiętnym czasie jedynie wasze dziecinne lampki płoną. A ja bym także pragnął jeszcze raz zobaczyć jasność zwierciadła.

— Pójdź więc, rzekła, popatrzymy razem.

I przez spróchniałe schodki poprowadziła mnie do małej, drewnianej izdebki z błyskiem zwierciadła na ścianie.

— Cyt, rzekła, zaraz ci pokażę. Bo moja własna lampka jest jaśniejszą i mocniejszą od innych; a ja nie jestem tak biedną w tej dżdżystej ciemności. I podniosła swą lampkę ku zwierciadłu.

A wtedy szkło zaczęło łągodnie jaśnieć

i ujrzałem w niem bieg znanych historii. Ale lampka kłamała, kłamała, kłamała. Zobaczyłem pióro wznoszące się od ust Kordelji; a ona uśmiechnęła się i ozdrowiała; i ze swym starym ojcem mieszkała w dużej klatce jak ptak, i całowała jego białą brodę. Zobaczyłem Ofelię, jak igrała na szklanej wodzie stawu i zawieszona na szyi Hamleta ramiona swe wilgotne, strojne fiołkami. Zobaczyłem Desdemonę zbudzoną, jak błąkała się pod wierzbami. Zobaczyłem królową Malenę, która odjęła dłonie od oczu starego króla i śmiała się i tańczyła. Zobaczyłem Malisandę na wolności przeglądającą się w źródle.

I krzyknąłem: Mała kłamliwa lampko...

— Cyt! rzekła mała przekupka lampek i położyła mi rękę na ustach. Nie trzeba nic mówić. Czyż nie dość już jest ciemno i dżdżysto?

Tedy spuściłem głowę i szedłem poprzez dżdżystą noc ku nieznanemu miastu.

SSS

## O JEJ ŻYCIU.

Nie wiem już gdzie, Monella wzięła mię za rękę. Zdaje mi się, że to był wieczór jesienny, kiedy deszcz staje się już bardzo zimnym.

— Pójdź bawić się z nami, rzekła.

Monella niosła w fartuszkuzepsute lalki i wolanty, których piórka wypadały, a galony wisiały w strzępach. Twarz miała bladą, a oczy pełne uśmiechu.

— Pójdź bawić się, rzekła. Nie pracujemy już, bawimy się.

Był wiatr i błoto. Bruki połyskiwały. Z okapów woda spływała kroplami. Na progach sklepów siedzące dziewczęta drżały z zimna. Świątła zdawały się palić czerwono.

Monella wyciągnęła z kieszeni mały napastek, ołowianą szablę i piłkę gumową.

— To wszystko dla nich, rzekła. Wychodzę zawsze po zapasy.

— A gdzie masz dom i jaką pracę i skąd pieniądze mała...

— Monella, rzekła, ściskając mię za rękę. Nazywają mnie Monella. Nasz dom, to jest dom, gdzie się bawi: wygoniliśmy pracę, a grosze, które jeszcze mamy, były nam dane na ciastka. Codzień idę szukać dzieci po ulicach i mówię im o naszym domu i zabieram je. I chowamy się dobrze, żeby nas nikt nie znalazł. Dorośli kazaliby nam wracać i zabraliby nam wszystko, co mamy.

— A w co się bawicie, mała Monello?

— We wszystko. Większe dzieci robią sobie strzelby i pistolety; jedne bawią się w wolanta, skaczą przez sznur, grają w piłkę; inne tańczą wkoło, wzięwszy się za ręce; znów inne rysują na szybach śliczne obrazki, których nie widać nigdy i puszczają bańki z mydła; a inne jeszcze ubierają lalki i prowadzą je na spacer i rachujemy na paluszkach najmniejszych dzieci, ażeby je rozśmieszyć.

Dom, gdzie zaprowadziła mię Monella, zda-

wał się mieć zamurwane okna. Całkiem odwrócony od ulicy, światło brał z głębokiego ogrodu. I tam już usłyszałem głosy szczęśliwe.

Troje dzieci obskoczyło nas wkoło:

— Monella! Monella! wołały, Monella wróciła!

Popatrzyły na mnie i szepnęły:

— Jaki on duży? Czy on się będzie bawił Monello?

A dziewczynka odrzekła im:

— Niedługo już dorośli pójdą z nami. Zwrócą się do małych dzieci, nauczą się bawić. Zrobimy dla nich szkołę, ale w naszej szkole nikt nie będzie pracował. Czyście głodni?

I głosiki krzyknęły:

— Tak, tak, trzeba zrobić obiadek!

Wtedy przyniesiono małe, okrągłe stoliki, serwetki wielkości listka bzu, szklanki niby napastrki do szycia i talerzyki wyżłobione jak łupinki orzechów. Posiłek składał się z czekolady i okruszyn cukru. A wino nie chciało wcale płynąć do szklanek, bo białe flakoniki wielkości małego palca, miały zbyt cienkie szyjki.

Pokój był stary i wysoki. Wszędzie paliły

się zielone i różowe świeczki w małych okrągłych lusterkach. Drobne okrągłe lusterka na ścianach zdawały się krążkami monety zmienionymi w zwierciadła. Lalki odróżniały się od dzieci jedynie swą nieruchomością. Siedziały na krzesłach, czesały się z podniesionymi rękoma przed małymi toaletkami, albo leżały już zakryte aż po brodę w swoich mosiężnych łożeczkach. A podłoga zasłaną była delikatnym zielonym mchem, jakim podściela się owczarnie w lesie.

Zdawało się, że dom ten był więzieniem lub szpitalem. Ale więzieniem, gdzie zamykano niewinnych, by ich uchronić od cierpienia; szpitalem, gdzie leczono z trudów życia. A Monella była dozorczynią i szarytką.

Mała Monella przyglądała się zabawom dzieci, ale była bardzo blada. Może z głodu.

Z czegoż wy żyjecie Monello? spytałem ją nagle.

Odpowiedziała mi poprostu:

— Z niczego. Sami nie wiemy.

I zaczęła się śmiać, ale była bardzo słaba.

Usiadła w nogach łożeczka dziecka, które

było chore. Podała mu jedną z białych buteleczek i została tak długo pochylona z półotwartymi wargami.

Niektóre dzieci tańczyły wkoło i śpiewały jasnymi głosami. Monella podniosła nieco rękę i rzekła :

— Cyt!

Potem zaczęła mówić swą słodką cichą mową:

— Zdaje mi się, że jestem chora. Nie odchodźcie. Bawcie się koło mnie. Jutro Nina pójdzie po zabawki, a ja zostanę z wami. Będziemy się bawić cicho, bez hałasu. Później już będziem się bawić na polu i po ulicach i będą nam dawali jeść w każdym sklepie. Teraz zmuszanoby nas jeszcze żyć, jak wszyscy. Trzeba czekać. Będziemy się długo bawić.

Monella rzekła jeszcze:

— Kochajcie mnie. Ja was wszystkich kocham.

Poczem zdała się zasypiać obok chorego dziecka. Wszystkie inne dzieci przyglądały się jej, wyciągając główki.

A nagle jakiś trzęsący słaby głosik odezwał się: »Monella umarła«. I stała się wielka cisza.

Dzieci poznosiły dokoła łóżka małe świeczki. I myśląc, że śpi, ustawiły przed nią jak dla lalki małe, jasno-zielone drzewka, przyszczyżone śpiczasto i baranki z białego drzewa, żeby na nią patrzyły. Potem usiadły i pilnowały jej. Po pewnym czasie chore dziecko czując, że policzek Monelli staje się zimny, zaczęło płakać głośno.

225

## O JEJ UCIECZCE.

Było dziecko, które zwykło bawić się z Monellą. To było dawno, zanim jeszcze Monella odeszła. Wszystkie godziny dnia spędzało przy niej, patrząc w jej drżące powieki. Ona się śmiała bez powodu i ono śmiało się także. We śnie rozchylone jej wargi zdawały się wypracowywać dobre słowa. A kiedy się budziła, usta jej uśmiechały się już, wiedząc, że ono przyjdzie.

Nie była to prawdziwa zabawa, bo Monella musiała pracować. Taka mała, siedziała cały dzień za starą, zapyloną szybą. Z zewnątrz, ściana zamurowana była na ślepo pod smutnym światłem północy. Ale drobne palce Monelli gończyły po płótnie niby po białym gościńcu, gdzie powpinane w suknię na kolanach szpilki, oznaczały przystanki. Prawa ręka stulona jak wózek, posuwała się ciągle, znacząc za sobą długi

śląd obrębu; skrzypiąc zagłębiała igła w płótno swe stalowe ostrze, ciągnąc za złotem uszkiem długą nić. I na lewą rękę Monelli miło było patrzeć, bo głaszcząc łagodnie sztywne płótno, wygładzała wszystkie jego zmarszczki, jakby w milczeniu oblekała świeżą pościel dla chorego.

Przyglądając się tak Monelli, radowało się dziecko bez słów, bo praca jej wydawała się zabawą, a słowa były proste i nie wiele miały znaczenia. Śmiała się do deszczu, śmiała się do śniegu, śmiała się do słońca. Kiedy miała pieniądze, śmiała się, bo myślała, jak pójdzie tańczyć w nowej sukni. Kiedy była w nędzy, śmiała się, że będzie jadła groch, gruby posiłek codzienny. Mając grosze, myślała o dzieciach, które będzie mogła nimi ucieszyć; i czekała, kiedy będzie miała rękę próżną, by móżdż zamknąć się i otulić swoim głodem, nędzą.

Była zawsze otoczona dziećmi, co w nią patrzyły rozszerzonymi oczyma. Może jednak wolała od nich dziecko, które spędzało przy niej wszystkie godziny dnia. A przecie poszła

i zostawiła je samo. Nie mówiła mu nigdy, nigdy o swem odejściu, tylko stawiała się uroczyście i czasem patrzyła nań dłużej. Przypominało sobie również, że przestała lubić wszystko, co ją otaczało. Swoje krzeselko, malowane zwierzątka, które jej przynosili, i wszystkie swe zabawki i wszystkie gałganki. Z palcem na ustach myślała o innych rzeczach.

Odeszła w jeden grudniowy wieczór, kiedy dziecka nie było. Ze swoją migotliwą lampką w ręku poszła w ciemności, nie patrząc poza siebie. Wróciwszy, zobaczyło jeszcze dziecko w czarnej głębi wąskiej uliczki mały gasnący płomyk. To było wszystko. Nie ujrzało już nigdy Monelli.

Długo pytało siebie samo, dlaczego Monella odeszła tak bez słowa. Myślało, że może nie chciała zasmucić się jego smutkiem. Wmawiało w siebie, że poszła do innych dzieci, którym może była potrzebna. Ze swą małą konającą lampką poszła nieść im ratunek, ratunek śmiejącego się w mroku płomyka. Może myślała, że nie należało nazbyt kochać jego jednego, aby móc kochać jeszcze inne, nieznanne dzieci. Lub może,

kiedy igła ze swoim złotem uszkiem dociągnęła już wózek jej dłoni aż do końca, aż do samego końca obrębu, Monella poczuła się nazbyt zmęczona białą drogą płótna, po której biegły jej ręce. Pewnie chciała zawsze się bawić. A dziecko nie znało tajemnicy zabawy wiecznej. Może zapragnęła nareszcie zobaczyć, co się kryje za ścianą ślepą, której oczy, od dawna zawarte były cementem. I powróci. Zamiast powiedzieć: »do widzenia, czekaj mnie, bądź grzeczne«, żeby nasłuchiwało odgłosu kroków na korytarzach i zgrzytu klucza w zamku, odeszła bez słowa i wróci niespodzianie; i położy mu dwie ciepłe dłonie na oczach — o tak — i zawoła kuku! głosem ptaszka, co wraca do gniazda.

Przypomniało sobie pierwszy dzień, kiedy ją ujrzało skaczącą naksztalt białego płomyka trzęsionego śmiechem. A oczy jej były jak woda, po której błędzą myśli niby cienie roślin. Tam na zakręcie drogi zjawiała się prosta i dobra. Roześmiała się długim wybuchem śmiechu, podobnym do przerywanych drzeń kryształowego dzwonka. Był zimerch zimowy i mgła; tak

się to zaczęło. Taki sam wieczór, to samo otoczenie, ten sam gwar w uszach: rok inny i czekanie. Dziecko przypominało sobie wszystko coraz dokładniej. Wszystko było jak wtedy — pierwszy raz. Tylko ono czekało: czyż tego już nie dość, by wróciła. I wyciągało swą biedną małą rączkę poprzez mgły.

Tym razem jednak Monella nie wróciła. Zaden śmieszek nie zadrzał we mgle. Była daleko i już nie pamiętała wieczoru tego ni roku. Choć kto wie? Może wśliznęła się nocą do niezamieszkałego pokoiku i czekała za drzwiami ze drżeniem słodkiem. Dziecko cichutko poszło tam, by ją schwycić. Ale jej już nie było. Wróci — o tak — wróci. Innym dzieciom dała już dosyć szczęścia. Teraz kolej na nie. Dziecko usłyszało zda się głosik figlarny, co szeptał: »Jestem dziś grzeczna«. Słowo krótkie, dalekie, zatarte, jak stara echowa barwa, zużyta wspomnieniem.

Dziecko usiadło cierpliwe. Tam stało małe plecione krzeselko jeszcze prawie z odbiciem jej ciała i stołeczek ulubiony, i lalka tem milsza, że rozbita i ostatnia uszyta przez nią ko-

szulka, koszulka, »co się nazywała Monella«, sztywna, nieco wydęta, czekająca pani.

Wszystkie drobiazgi w pokoju czekały. Stolik od roboty był otwarty. Centymetr w okrągłym pudełku wyciągał długi zielony język przebity kółkiem. Rozłożone płótno chustek podnosiło się jak małe wzgórki białe, końce igieł sterczały jak lance czatowników. Drobnny stalowy naporstek zdawał się porzuconym hełmem. Nożyczki otwierały paszczę jak błyszczący smok. Wszystko czekało śpiące. Mały wózek jej dłoni nie sunął już zręczny i ruchliwy, rozlewając na cały ten zaczarowany światek swego dobroczynnego ciepła. Cały mały zakłęty zamek pracy spał. Dziecko ufało. Drzwi oto otworzą się cichutko; uśmiechnięty płomyk podleci; białe wzgórki wygładzą się; cienkie lance dźwiękną; hełm odnajdzie swą różową głowę; smok błyszczący kłapnie znów gwałtownie paszczą, a mały wózek będzie sunął wszędzie, i głos zatarty wspomnieniem powie: »jestem dziś grzeczna«. — Czyż cuda nie dzieją się dwukrotnie?





## O JEJ CIERPLIWOŚCI.

Przybyłem w miejsce zacieśnione i mroczne, ale dyszące smutną wonią zduszonych fijołków. Niepodobna było ominąć tego przejścia, co rozciągało się w kształt długiego korytarza.

Idąc omackiem w mroku, natrafiłem ciało drobne, skulone w śnie; dotykałem włosów, przesuwałem dłoń po znajomej mi twarzy i zdawało mi się, że twarzyczka budzi mi się pod ręką i poznałem, że to była Monella, śpiąca sama wśród ciemności.

Krzyknąłem ze zdumienia, a że nie śmiała się ani płakała, rzekłem jej:

— O Monello, czyż przyszłaś tutaj spać jak cierpliwy konik polny w bruzdzie zoranej roli.

Otworzyła oczy i rozchyliła usta jak niegdyś, kiedy nie rozumiała nic i zawierzała się całą myśli kochanego.

— O Monello, rzekłem znowu, wszystkie

dzieci płaczą w pustym domu, zabawki pokryte są pyłem a mała lampka zgasła i wszystkie śmiechy, co dźwięczały po kątach pierzchły; zaś świat wrócił do pracy. Ale myśmy myśleli o tobie. Myśleliśmy, że bawisz się gdzieś daleko, gdzie nam niepodobna się dostać. A oto ty spisz tutaj jak dzikie zwierzątko, skulone pod śniegiem, który lubiłaś dawniej za jego białość.

Wtedy przemówiła, a głos jej był ten sam, rzecz dziwna, w tem miejscu mrocznym, że nie mogłem powstrzymać się od łez, a ona mi je otarła włosami, co były jej odzieżą.

— O ukochany, rzekła, nie trzeba płakać, bo oczy twe potrzebne ci są do pracy, o ile będzie się żyć pracą, a czas nie nadszedł jeszcze. I nie trzeba zostawać w tem miejscu zimnem i ciasnem.

A ja załkałem, mówiąc:

— O Monello! dawniej bałaś się ciemności!

— Nie boję się już, rzekła.

— O Monello! dawniej bałaś się zimna, niby dłoni trupa.

— Nie boję się już zimna, rzekła.

— I jesteś tutaj sama, zupełnie sama, takie dziecko. Dawniej płakałaś kiedy byłaś sama.

— Nie jestem sama, rzekła, bo czekam.

— O Monello! i kogóż czekasz, śpiąca, tak skulona w ciemności.

— Nie wiem, rzekła, lecz czekam. I czekanie moje jest ze mną.

Zobaczyłem wtedy, że cała jej twarz, zwrócona była ku wielkiej nadziei.

— Nie trzeba tu zostawać, rzekła, jeszcze w tem miejscu ciemnem i chłodnem, wróc do twych przyjaciół, ukochany.

— Czy nie chcesz prowadzić mię i nauczyć Monello, ażebym i ja zyskał cierpliwość twego czekania. Jestem taki samotny!

— O ukochany, rzekła, niezdolnam cię nauczać, jak niegdyś, gdy mówiłeś, że jestem małym zwierzątkiem. To są rzeczy, które odnajdziesz sam myślą długą i pracowitą, tak jak ja ujrzałem je wszystkie naraz w śnie.

A czy ci towarzyszy w twym śnie Monello wspomnienie przeszłego życia, czy pamiętasz o nas w twoim śnie.

— Jakże mogłabym zapomnieć ciebie, uko-

chany! Wszakże jesteś w oczekiwaniu mojem, kiedy śpię. Ale nie mogę tłumaczyć. Pamiętasz, lubiłam dawniej ziemię i przesadzałam kwiaty; pamiętasz, mówiłam ci nieraz: »Gdybym była ptakiem, ukryłbyś mię na piersi, kiedybyś miał odchodzić«. O ukochany, jestem tu w dobrej ziemi jako ziarno, a czekam, by stać się ptakiem.

— O Monello więc spisz, zanim odleciez daleko od nas?

— Nie ukochany. Nie wiem czy odleczę, bo nie wiem nic. Ale wtuliłam się w to, co kocham, i śpię w oczekiwaniu mojem. A zanim zasnęłam, byłam małym zwierzątkiem, jak mówiłeś, i byłam podobna do biednej poczwarki. Raz pamiętasz znaleźliśmy razem kokon biały, jedwabisty, nieprzedarty nigdzie. Niedobry, otworzyłeś go; był pusty. Czy myślisz, że stworzonko skrzydlate nie wyfrunęło zeń. Tylko nikt nie wie jak. A spało długo; i zanim zasnęło, było małą, biedną poczwarką. A poczwarki są ślepe. Wyobraź sobie ukochany, (to nie prawda, ale ja często tak myślę), że i ja utkałam swój kokon ze wszystkiego, co kochałam dawniej: z ziemi, z bawek, kwiatów, dzieci, dobrych słów i wspo-

mnienia o tobie ukochany. To gniazdeczko jest białe i jedwabiste, i nie wydaje mi się chłodnym ani ciemnym. Ale może dla innych nie jest takim. Wiem, że nie otworzy się wcale i że zostanie zamknięte jak tamten dawny kokon. Tylko mnie w nim już nie będzie. Bowiem czekaniem mojem jest, że odfrunę niby małe stworzonko skrzydlate, by nikt nie wiedział jak. A dokąd mam odlecieć nie wiem sama; ale to jest czekanie moje. I dzieci także, i ty ukochany, i dzień kiedy nie będzie już pracy na świecie, jest tem czekaniem mojem. Jestem małym zwierzątkiem, ukochany; nie umiem wytłomaczyć lepiej.

— Trzeba, trzeba, rzekłem, Monello, abys raz ze mną wyszła z tych ciemności; bo wiem, że tak nie myślisz; i schowałaś się tu, by płakać; ale że znalazłem cię nareszcie zupełnie samą, śpiącą tu, zupełnie samą, czekającą tu, pójdź ze mną, pójdź ze mną, z tej chłodnej ciemności.

Nie i nie zostawaj tu ukochany, bo zbyt byś cierpiał; i ja wrócić nie mogę, bo domek, który sobie utkałam jest zamknięty, że nie mogę zeń wyjść.

I Monella objęła mi szyję ramionami, a po-

całunek jej, rzecz dziwna, był takim jak dawne jej pocałunki, to też płakałem znowu, a ona otarła mi oczy włosami.

— Nie trzeba płakać, rzekła, jeżeli nie chcesz zasmucać mego czekania; może nie będę czekać już tak długo. Nie rozpaczaj więc. Bowiem ja błogosławię tobie, żeś pomógł mi tu zasnąć w małym, jedwabnym gniazdku, którego najmniejszy jedwab z ciebie wytkalałam, ukochany, i śpię w nim teraz cicho w sobie zamknięta.

I jak niegdyś we śnie Monella wtuliła się w tajemnicę i rzekła: »Ja śpię, ukochany«.

Tak ją znalazłem; ale jakżeż mogę być pewny, że odnajdę ją znowu w tem miejscu zacieśnionem i mrocznem.

RS

## O JEJ KRÓLESTWIE.

Czytałem tej nocy, sunąc palcem za biegiem słów i wierszy; myśli moje były gdzie-indziej.

Wkoło mnie padał deszcz ciemny, ponury i chłozzczący. Płomień mojej lampy oświecał zimne popioły ogniska. A ja miałem w ustach smak błota i podłości; bowiem świat wydawał mi się ciemnym, a światła moje pogasły. I potrzykroć krzyknąłem:

»Pragnę morza, wody mętnej, aby ugasić swą żądzę podłości.

»Jestem zgorzycielem; wyciągnijcie ku mnie ręce wasze!

»Trzeba ich zarzucić błotem, że nie pogardzili mną.

»A siedem czasz pełnych krwi, czekać będzie na stole moim a korona złota zabłyśnie wśród nich«.

I zabrzmiał nagle głos, który mi nie był obcym a twarz tej, która się zjawiała przedemną, nie była mi nieznaną. Ona wołała:

— Królestwo białe! Królestwo białe! Ja znam białe królestwo!

I odwróciłem głowę odpowiadając jej bez zdziwienia:

Mała głowo kłamliwa, usta, co kłamiecie, niema już dziś królów ani królestw. I daremnie pragnę czerwonego królestwa; bowiem czas minął. A tu królestwo jest czarne, które wcale nie jest królestwem; bo cały lud królów ciemności wyciąga zeń ramiona. A niema nigdzie na świecie białego królestwa, ani białego króla.

A ona znowu wołała:

— Królestwo białe! Królestwo białe! ja znam białe królestwo!

I chciałem ująć ją za rękę, ale się wysunęła.

— Nie smutkiem, rzekła, ani gwałtem. A jednak jest białe królestwo! Idź za mojemu słowami: słuchaj.

I umilkła, a ja przywołałem wspomnienie.

— Ani wspomnieniem, rzekła. Idź za mo-  
jemi słowami: słuchaj.

I umilkła; a mnie nawiedziła myśl.

— Ani myślą, rzekła, idź za mojemu-  
słowami, słuchaj.

I umilkła:

A ja zabiłem w sobie smutek wspomnienia  
i pragnienia gwałtowności swojej i wszelka  
myśl zanikła we mnie. I trwałem w oczekiwaniu.

— I otóż, rzekła, zobaczysz białe kró-  
lestwo, ale nie wiem czy wejdiesz doń. Bo-  
wiem trudną jestem do pojęcia, okrom dla tych,  
którzy nie pojmują; i trudną do pochwylenia  
okrom dla tych, co już nie chwytają; i trudną  
do poznania okrom dla tych, którzy nie mają  
wspomnień. Zaprawdę oto mnie masz i nie masz  
zarazem. Słuchaj.

Słuchałem tedy w oczekiwaniu mojem.

Ale nie usłyszałem nic. A ona pochyliła  
głowę i rzekła:

— Żal ci gwałtowności twojej i wspomnie-  
nia, a zniszczenie nie dokonało się jeszcze.  
Trzeba zniszczyć, aby otrzymać białe króle-  
stwo. Wyznaj siebie, abyś się wyzwolił; w ręce

moje złóż twoje pragnienia i wspomnienia twe,  
a ja je zniszczę. Bowiem wyznanie każde jest  
zniszczeniem.

I zawołałem:

— Oddam ci wszystko, tak oddam ci  
wszystko! I będziesz wszystko nieść i wszystko  
zniszczysz, bo mnie już sił braknie.

Pragnąłem czerwonego królestwa. Byli kró-  
lowie krwawi, którzy ostrzyli brzeszczoty. Ko-  
biety o zczerniałych oczach łkały, płynąc na  
łodziach brzemiennych trucizną. Piraci zakopy-  
wali w piasku wysp skrzynie ładowne nabo-  
jami. Nierządnicze były wolne. Złodzieje chodzili  
gościńcami pod bladym świtem. Wiele młodych  
dziewcząt oddawało się łakomstwu i zbytkom.  
Gromada kobiet balsamowała i złościła trupy  
w błękiecie nocy. Dzieci pragnęły miłości dale-  
kich i zbrodni utajonych. Nagie ciała grzały się  
na gorących płytach łaźniennych. Wszystko  
wonne było paląciami korzeni a oświecone  
blaskiem czerwonych gromnic. Ale królestwo to  
zapadło pod ziemię a ja zostałem w ciemności.

A wtedy zostało mikrólestwo czarne, które wcale  
nie jest królestwem: bowiem pełne jest królów,

którzy jeno za królów mają się i zaciemniają władztwo rozkazami swymi i dziełami. A mroczny deszcz zalewa je dniem i nocą. I błądziłem długo po drogach, aż ku drżącemu światełku małej lampki, która zjawiała mi się raz wśród nocy. Deszcz padał mi na głowę, ale ja żyłem blaskiem tej lampki. Ta, która ją trzymała, nazywała się Monellą, i byliśmy oboje w czarnem królestwie. Ale pewnego wieczoru lampa zgasła a Monella znikła. Szukałem jej długo wśród ciemności; ale nie mogłem odnaleść. I tego wieczoru też szukałem jej w księgach; ale szukam daremnie. I zgubiłem się w czarnem królestwie, i nie mogę zapomnieć światełka Monelli. A w ustach mam smak podłości.

I z chwilą gdy mówiłem, uczułem, że zniszczenie dokonało się we mnie; i oczekiwanie rozjaśniło się drzeniem nagłym i usłyszałem w ciemności głos, który mówił:

Zapomnij wszystko, a wszystko ci będzie zwrócone. Zapomnij Monellę a będzie ci zwrócona. Takim jest słowo nowe. Bądź jak ślepe szczenie, które szuka omackiem oparcia dla swego pyszczka chłodnego.

I ta, która mówiła, zawołała jeszcze:

— Królestwo białe! Królestwo białe! Ja znam królestwo białe!

I zapomnienie wstąpiło we mnie a miejsce świadomości zajęła pustka głęboka i jasna.

A ta, która mówiła, wołała znowu:

— Królestwo białe, królestwo białe. Ja znam białe królestwo. Oto klucz do królestwa: w królestwie czerwonym jest królestwo czarne, w królestwie czarnym jest królestwo białe. W królestwie białem...

— Monella, krzyknąłem, Monella! W królestwie białem jest Monella.

I królestwo stanęło przedemną; ale obwarowane było białością.

Wówczas spytałem:

— Gdzie jest klucz do królestwa?

Lecz ta, która mówiła, już umilkła.



## O JEJ ZMARTWYCHWSTANIU.

Wilka zaprowadziła mię wążką ścieżyną na skraj pola. Grunt dalej się podnosił, a przy widnokręgu brunatna linja odcinała się na niebie. Rozpłomienione obłoki skłaniały się już ku zachodowi. W niepewnej światłości wieczornej rozróżniałem małe błędzące cienie.

— Za chwilę, — rzekła, — zobaczymy, jak rozpali się ogień. Jutro już będzie dalej. Bo oni nie mieszkają nigdzie. I nigdy w jednym miejscu nie zapalają ogniska dwa razy.

— Któż oni są? spytałem Wilki.

— Niewiadomo. Są to dzieci ubrane biało. Niektóre z naszych wsi. Inne idą zdaleka.

Zobaczyliśmy mały płomyk, strzelający na wzgórze.

— Otóż ich ogień, rzekła Wilka, Teraz będziemy mogli ich odnaleźć. Nocują za-

wsze w tem miejscu, gdzie rozpalą ognisko, a rankiem idą dalej.

A kiedy przybyliśmy na wzgórek, gdzie palił się płomień, zobaczyliśmy wiele białych dzieci naokoło ognia.

A między nimi poznałem małą przekupkę lamp, którą spotkałem niegdyś w czarnem dżdżystem mieście. Ona zdawała się je prowadzić i nauczać.

Podniosła się z pośród dzieci i rzekła mi: — Nie sprzedaję już małych lampek gasnących w posępnym deszczu.

Bowiem przyszedł czas, kiedy kłamstwo zajęło miejsce prawdy, a nędzna praca zanikła.

Bawiliśmy w domu Monelli; lampki były nam zabawkami a dom przytulkiem.

Monella umarła. Ja jestem tą samą Monellą i oto wstałam w nocy i maluczcy poszli ze mną i pójdziemy razem przez świat.

Zwróciła się ku Wilce. — Pójdź z nami, rzekła. I bądź szczęśliwą w kłamstwie. I Wilka pobiegła między dzieci, również odziana biało.

— Idziemy, podjęła ta, która nas wio-

dła, i kłamiemy każdemu, który przyjdzie do nas, aby mu sprawić radość.

Nasze zabawki były kłamstwem, a teraz rzeczy są nam zabawkami.

Pośród nas nikt nie cierpi i nikt nie umiera; o tamtych mówimy, że starają się poznać smutną prawdę, która nie istnieje. Ci, co chcą poznać prawdę, odchodzą i porzucają nas.

My przeciwnie, nie wierzymy w żadną prawdę świata... bowiem wszystkie prowadzą do smutku.

A my chcemy dzieci nasze prowadzić ku radości.

Teraz dorośli mogą przychodzić do nas, a my ich nauczymy nieświadomości i złudzeń.

Pokażemy im drobne kwiaty polne, jakich nie widzieli nigdy: bowiem każdy jest nowy.

Niema podobieństw na świecie, a dla nas niema wspomnień.

Wszystko się zmienia wiecznie i my przywykliśmy do zmian.

Dlatego też zapalamy nasz ogień co wieczór w innym miejscu; a wkoło ognia tworzymy dla uciechy historye karłów i lalek żywych.

A kiedy płomień zgaśnie, chwyta nas nowe kłamstwo i jesteśmy szczęśliwi, mogąc mu się dziwić.

A rankiem nie poznajemy już wzajem naszych twarzy: bo może jedni z nas zapragnęli poznać prawdę, a inni pamiętają jedynie kłamstwo wczorajsze.

Tak idziemy przez świat i spieszą ku nam tłumy, a ci, którzy idą za nami, są szczęśliwi.

Kiedyśmy jeszcze żyli w mieście, zmuszano nas ciągle do tej samej pracy i kochaliśmy tych samych ludzi, a praca zwykła męczyła nas i rozpaczaliśmy widząc, jak ukochani nasi cierpią i umierają.

Błędem naszym było, że tak zatrzymaliśmy się w życiu, bez ruchu śledząc bieg rzeczy, lub próbowali zatrzymać życie i zbudować sobie stały dom wśród ruin chwiejnych.

Ale kłamliwe lampki oświeciły nam drogę do szczęścia. Ludzie szukają radości we wspomnieniu i opierają się życiu i hardzieją prawdą świata, która przestaje być prawdziwą, stawszy się raz prawdą.

Smucą się śmiercią, która jest przecie tylko



obrazem ich wiedzy i niewzruszonych praw; smućą się, uczyniwszy zły wybór w przyszłości, którą obmyślali drogą przeszłych prawd, lub obierali żądzą, co minęła.

Dla nas każde pragnienie nowem jest, bowiem żądamy tylko chwili, która kłamie; wszelkie wspomnienie jest prawdziwem, a my wyrzekamy się prawdy.

I pracę uważamy za zgubną, że zatrzymuje życie i czyni je sobie podobnem.

I wszelki zwyczaj jest nam szkoda, gdyż nie pozwala całkowicie oddać się nowym kłamstwom.

Takie były słowa tej, która nas wiodła.

I błagałem Wilkę, by wróciła ze mną do swych rodziców, ale widziałem z jej oczu, że już mię nie poznaje.

Całą noc przeżyłem w świecie snów i kłamstw, próbując zdobyć nieświadomość, złudzenie i podziw niemowlęcia.

Potem małe pierzchliwe płomyki zgasły.

A wtedy w smutnej nocy zobaczyłem niewinne dzieci płaczące, że nie straciły jeszcze pamięci.

A inne porwane nagłą żądzą pracy, ścianały chwasty i wiązały je w snopy wśród ciemności.

A inne pragnąc poznać prawdę, zwróciły blade twarzyczki ku wystygłym popiołom i pomarły drżące w swoich białych sukniach.

Ale kiedy niebo zaróżowiło wschodem, ta, która nas wiodła, wstała i zapomniawszy nas, puściła się w drogę a wiele dzieci poszło za nią.

A gromada ich była radosna i śmiały się cichutko ze wszystkiego.

A kiedy zapadł wieczór, zapaliły znowu swój ogień ze słomy.

I znowu płomienie zagasły, a w środku nocy popioły stały się chłodne.

Wtedy Wilce powróciła pamięć: zapragnęła kochać i cierpieć, więc przyszła do mnie w swojej białej sukni i uciekliśmy razem poprzez wieś.



255  
351404

## SPIS RZECZY:

	Str.
I. SŁOWA MONELLI . . . . .	5
II. SIOSTRY MONELLI . . . . .	23
Samolubna . . . . .	25
Namiętna . . . . .	32
Przewrotna . . . . .	38
Zawiedziona . . . . .	45
Dzika . . . . .	53
Wierna . . . . .	59
Ostrzeżona . . . . .	64
Marzycielka . . . . .	70
Wysłuchana . . . . .	76
Nieczuła . . . . .	81
Poświęcona . . . . .	87
III. MONELLA . . . . .	95
O jej zjawieniu . . . . .	97
O jej życiu . . . . .	102
O jej ucieczce . . . . .	108
O jej cierpliwości . . . . .	114
O jej królestwie . . . . .	120
O jej zmartwychwstaniu . . . . .	126

